

Zza Niemna nad Niegocin

Wstęp

Jest to dalszy ciąg powieści autobiograficznej. Pierwsza nosiła tytuł „Nad brzegami Niemna”.

Opis wspomnień zakończył się w chwili, kiedy transport kolejowy z polskimi uchodźcami przekroczył granicę na Bugu i znalazł się po zachodniej stronie rzeki. Bodźcem do kontynuowania dalszej opowieści były życzenia zgłaszane przez czytelników pierwszej książki.

*A czas jak rzeka,
Jak rzeka płynie...*

Czesław Niemen

Rozdział pierwszy Zderzenie z innym światem.

To nie był sen. Odczuwało się monotonne kołysanie, a spod podłogi wagonu dolatywały do uszu rytmiczne uderzenia kół o styki szyn. Podobne, może tylko bardziej przytłumione dźwięki, słyszałem w pociągu osobowym na trasie z rodzinnych Stołpiec do stolicy Białorusi Mińsk. Przecież nie jeden raz robiliśmy wyprawy do tamtego wielkiego miasta, przeważnie po chleb. Jednak tylko pod tym względem można było zauważyć jakieś podobieństwo. Poza tym wszystko było rażąco inne, poczynając od tego, że znajdowaliśmy się w wagonie przeznaczonym do przewozu towarów. Ktoś jednak pamiętał, że już rozpoczął się grudzień i na środku podłogi ustawił żelazny piecyk. Naszym zadaniem było jedynie dosypywanie do niego co jakiś czas nowej porcji węgla. Ten obowiązek wykonywaliśmy ochoczo, a ponieważ węgla zgromadziliśmy pod dostatkim, to ścianki dość często przybierały barwę czerwoną, promieniując miłe ciepło.

Na piecyku najczęściej stał czajnik z gotującą się wodą do zaparzenia herbaty, ale czasami zastępował go jakiś garnek albo patelnia z posiłkiem przygotowywanym przez mamę. Po jednej stronie wagonu stał nasz największy skarb, tj. motocykl marki „Iż”, a prócz niego jakieś inne pakunki z ubraniami, garnkami i innym dobytkiem. Wagon był na tyle duży, że dało się w nim ustawić nawet łóżka i położyć materace, które stworzyły warunki zapewniające prawie normalne spanie.

To nie był sen. Wszystko wokół było realne i potwierdzało, że faktycznie znajdujemy się już na ziemi polskiej, a granica i państwo radzieckie zostały z tyłu, za nami. Byliśmy w Polsce, tj. w kraju o którym jeszcze tak nie dawno mogliśmy jedynie rozmawiać, albo marzyć. Byłem bardzo ciekaw jak jest w Polsce naprawdę. Miałem wrażenie, że tutaj wszystko jest inne - nie tylko język.

Na lekcjach w szkole nie jeden raz słyszałem, że jest to kraj braterski, zaprzyjaźniony, ale wiedziałem też, że przekroczenie granicy do tak bliskiego kraju nie jest możliwe. Nikt nie odważył się stawiać pytań na ten temat, ale każdy uczeń wiedział nawet bez dodatkowych wyjaśnień, że wszystkie ograniczenia wynikają z konieczności zagwarantowania

bezpieczeństwa dla Kraju Rad, który od momentu powstania nieustannie był zagrożony zachodnim kapitalizmem, imperializmem, rewanżyzmem i podobnymi siłami, pragnącymi zniszczyć pierwsze państwo robotników i chłopów. Słyszałem również jakieś opowieści z ust rodziców o Polsce z okresu międzywojennego, ale zbytnio to mnie nie interesowało, bo przecież tamta rzeczywistość dawno minęła, a możliwość powrotu do niej już nie istniała. Nawet gdybym był mało pojętym uczniem, to i tak musiałbym zapamiętać powtarzane niejednokrotnie stwierdzenia, że koło historii obraca się tylko w jedną stronę, a czas nigdy nie cofa się do tyłu.

Mimo to rodzice jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny czekali na powrót Polski w „nasze strony” i uparcie twierdzili, że nowa granica między Związkiem Radzieckim, a Polską została ustalona sztucznie, na podstawie decyzji Stalina. Tysiące Polaków okazało się nieoczekiwanie poza Polską, chociaż nigdzie nie wyjeżdżali ze swego Kraju. Słyszałem też niejedną raz od rodziców, że po wojnie cała rodzina zarówno ze strony mamy jak i ojca, znalazła się w Polsce w nowych granicach, a los pokierował tylko nami inaczej. Podobnych przypadków rozdzielania znajomych, rodzin i krewnych było nieskończenie wiele. Ojciec do znudzenia krytykował reżim, który nie pozwalał na swobodne przekraczanie granicy i odebrał możliwości kontaktu nawet z najbliższymi członkami rodzin po drugiej stronie Bugu. Już w pierwszych latach po wojnie było to niemożliwe, ale i w okresie późniejszym mocno utrudnione. Wzajemna wiedza o warunkach życia była znikoma.

Jeśli ojciec powracał kolejny raz do tego tematu i próbował udowodnić znów, że nowe granice zostały ustalone niesprawiedliwie, to dla wsparcia swego poglądu zaczynał wymieniać nazwy różnych miejscowości położonych bliżej i dalej od naszych Stołpiec stwierdzając stanowczo, że przeważnie mieszkała tam ludność polska, a często nadal mieszka. Co prawda były również wioski białoruskie, ale w wielu miejscowościach Białorusini stanowili znikomy procent. Prócz mało znanych wiosek słyszałem również nazwy niektórych większych miast, w tym położonego niedaleko Nowogródka, w którym podobno mieszkali wyłącznie Polacy¹. Jedną z wiosek na północ od Stołpiec nazywała się „Derewna”. Podobno mieszkali tam wyłącznie Polacy i nawet kilka lat po zakończeniu wojny „mieli” jeszcze „swego” księdza. We wsi czynny był kościół. Nie znałem szczegółów, ale istniała tam również możliwość ochrzczenia dzieci. Nie potrafię też powiedzieć, w jaki sposób informacja ta dotarła do naszej wsi, z tak dużej odległości. Widocznie dorośli nie mieli na ten temat żadnych wątpliwości, bo pewnego poranka dziadek zaprzęgnął konia, nakładł na wóz siana więcej niż zwykle - żeby było miękko - i wyruszyliśmy w drogę z mamą, z zamiarem ochrzczenia młodszego brata. Pamiętam to wszystko dość dokładnie, bo miałem już ponad osiem lat.

Dwa lata później sytuacja powtórzyła się. Ponownie byłem uczestnikiem wyprawy do tej dalekiej wsi, z tego samego powodu. Kolejnego brata należało również ochrzcić. Tym razem musieliśmy jechać koniem kołchozowym, bo gospodarstwa indywidualne już nie istniały. Jechaliśmy wolno i bardzo długo. Siano na wozie faktycznie tworzyło miękką warstwę, ale nie chciało ułożyć się w postaci zapewniającej wygodną, siedzącą pozycję i tylko z tego powodu zarówno jedna jak i druga podróż, mimo iż na początku zapowiadała się bardzo atrakcyjnie, stopniowo stała się prawdziwą udręką.

¹ Przedwojenny atlas z 1926 roku w opracowaniu F. Heidericha i W. Schmidta nie potwierdza tego.)

Nie wiem, czy w tamtej wiosce mieszkali jacyś znajomi. Może ponownie, jak w czasie wojny, zatrzymaliśmy się i nocowali u ludzkiej rodziny obcych. We wsi, tak samo jak w naszych Okińczycach, zabudowa była drewniana, ale jakże mocno wszystko to różniło się od tego, co widziałem u nas. Niezbyt wysokie, raczej niskie drewniane chaty były przykryte wielkimi czapami słomianych dachów, które wystawały daleko poza granicę ścian i zwisały nisko prawie do górnej granicy małych okien. Obory i stodoły były podobne. Czegoś takiego nie widziałem nigdy. Wszystkie budynki były szare, ustawione w równe czworoboki i tworzyły zaciszne podwórka osłonięte ze wszystkich stron. Jedynie na podstawie okien można było domyślić się gdzie mieszkają ludzie.

Znaleźliśmy się na jednym takim podwórku, a już po chwili jakieś dorosłe osoby, widocznie właściciele, byli przy nas, pomogli wyprząc konia, ktoś wziął z rąk mamy małe dziecko i pomógł zejść z wozu. Zdażyłem jeszcze zauważyć, że jakaś inna osoba poprowadziła konia w kierunku jednego z budynków, otworzyła jakieś wrota i po chwili razem z nim zniknęła w ciemnym wnętrzu.

Chociaż na tą uroczystość jeździłem dwa razy, to nie przypominam sobie, żebym był obecny podczas samego chrztu. Wydaje się, że mama z dziadkiem i jakimiś innymi osobami chodziła gdzieś w pośpiechu, chyba tak żeby jak najmniej osób postronnych spotkać po drodze i być może z tego powodu w obu przypadkach musiałem zostać sam w obcym domu. Siedziałem więc w jakiejś kuchni, przy pustym stole, oglądałem przez okno tak samo puste podwórko i dziwne dachy.

Droga powrotna była tak samo długa i męcząca jak w tamtą stronę. Prawie cały czas koń poruszał się wolnym krokiem i było mi tak samo niewygodnie bez względu na to, czy koła podskakiwały po bruku, czy wóz kiwał się w koleinach, kiedy zjeżdżaliśmy na pobocze. Pamiętam też, że po minięciu Stołpiec nieoczekiwanie poczułem się źle i zwymiotowałem.

Z mapy wynika, że ze Stołpiec do Derewny jest około dwudziestu kilometrów. Pamiętałem, iż mniej więcej w połowie drogi przejeżdżaliśmy przez jakąś rzeczkę. Nie omyliłem się, na mapie faktycznie jest rzeka - nazywa się Suła, a z białoruskiego przewodnika w rosyjskim języku o Stołpcach i okolicach wynika, że w Derewnie są pomniki architektury z XVI wieku. Być może uchowały się do dnia dzisiejszego chaty ze słomianymi dachami. Może coś z tamtej odległej rzeczywistości utkwilo dostatecznie mocno w dziecięcej pamięci, nie uleciało z niej całkowicie i nie zostało przeinaczone na przestrzeni minionych pięćdziesięciu lat.

O tamtej wsi i podróży nie myślałem wcale, kiedy znajdowałem się w wagonie, który też lekko kołysał się, tocząc się spokojnie po polskiej ziemi. W wagonie panowała cisza. Chyba rodzice tak samo jak bracia pragnęli zauważyć, na czym polega odmienność kraju zwanego Polską. Prócz chęci odnalezienia różnicy w krajobrazie, próbowałem zrozumieć prawdę dwóch przeciwstawnych potoków informacji, które bez przerwy bombardowały świadomość. Z jednej strony na psychikę działała oficjalna propaganda radzieckiej ideologii, płynąca bez przerwy z głośników i gazet, które były kupowane czasami. Nie zapomniałem jeszcze niektórych lekcji w szkole, ale w domu przy każdej okazji słyszałem wywody ojca, jakże odmienne. Czyje oddziaływanie było silniejsze: ojca, nienawidzącego radzieckiej porządku, tęskniącego za tym, co dawno minęło, czy specjalistów od propagandy radzieckiej?

Pamiętałem niektóre lekcje w szkole, z których wynikało, iż powszechne zwycięstwo radzieckiego systemu jest bliskie, że upadek kapitalizmu jest nieunikniony, a niezliczone rzesze zwykłych ludzi na całym świecie z niecierpliwością czekają na ten moment, kiedy socjalizm stanie się systemem panującym wszędzie i rozpocznie się era prawdziwego szczęścia. Byliśmy informowani bez przerwy o postępowych cechach nowego ustroju.

Ponadto, z lekcji historii wynikało, że w wyniku zmiany granicy nastąpiła sprawiedliwość dziejowa, bo po latach niewoli, spełniło się marzenie białoruskich chłopów, będących prawowitymi gospodarzami ziemi i ludność Białorusi Zachodniej wreszcie połączyła się z pozostałą częścią Kraju. Nikt nie odważył się zgłaszać w tym zakresie najmniejszych wątpliwości. Nikt w tamtym kraju nie miał dostępu do informacji o odmiennych poglądach, do innego systemu wartości. Szczególnie dotyczyło to młodzieży urodzonej tuż przed wojną i później.

Nie przypominam, żeby ktoś wspominał oficjalnie o powojennych losach Polaków. Temat przedstawiono w taki sposób, iż samorzutnie nasuwał się wniosek, że w poprzednim okresie na obszarze tak zwanej Białorusi Zachodniej Polacy stanowili znikomy odsetek mieszkańców, a obecnie problem jako taki w ogóle nie istnieje. Z podręczników historii i obowiązkowej literatury białoruskiej dowiadywałem się, że od najdawniejszych czasów nieliczni Polacy bezlitośnie wyzyskiwali masy białoruskich chłopów. Zajmowali oni eksponowane stanowiska, albo pozostawali właścicielami majątków, wykorzystywali swoją uprzywilejowaną pozycję i gnębili rdzenny naród, nie zezwalając na dostęp do oświaty, nie dopuszczając do żadnych stanowisk w urzędach, prześladując białoruski język. Wraz ze zmianą granicy w 1939 roku przestał istnieć problem przedwojennych *polskich panów*. Twierdzono, że Białorusini odzyskali wolność.

W miejsce Polaków, którzy w 1945 roku wyjechali za Bug, pojawili się Rosjanie. Polacy stali się mniejszością. Mowy polskiej nie słyszało się nigdzie: na ulicach, w sklepach, na rynku. Dziwne, ale białoruskiego języka też prawie nie słyszało się, chociaż próbowano przekonać każdego Polaka, że faktycznie jest Białorusinem i taki zapis powinien mieć w dokumentach. Być może Polacy potrafiliby organizować spotkania integracyjne we własnym środowisku, gdyby istniało jakieś znane miejsce takich spotkań np. kościoł, ale nowe władze w pierwszej kolejności zlikwidowały te ośrodki polskości. Księża zostali wywiezieni, kościoły pozamykano lub zlikwidowano.

Kościół w Stołpcach został rozebrany, a w pobliskim Nowym Swierżniu, chociaż uniknął tego losu, to był zamknięty z braku księży. Języka polskiego poza domem nigdzie nie słyszałem. Rodziny polskie, które z jakichś nie znanych powodów nie zostały wywiezione na Syberię w roku 1940 albo po zakończeniu wojny, cieszyły się teraz tylko z tego powodu, że nadal mieszkają w swoich rodzinnych wsiach. Nikt nie odważył się nawet pomyśleć, żeby manifestować odmienność narodową.

Istniały obawy, że najmniejsza próba wyrażenia chęci powrotu do polskiej kultury i języka, na przykład poprzez domaganie się specjalnych lekcji w szkole, może być potraktowana jako działalność wywrotowa, mająca na celu przywrócenie stanu przedwojennego, a na takie pociągnięcia przedstawiciele władzy byli uczuleni szczególnie. Mogłoby to być potraktowane jako zamach na radziecką rzeczywistość. Gdyby ktoś miał odwagę o czymś takim nie tylko pomyśleć, ale również powiedzieć nieopatrznie gdzieś głośno, prawdopodobnie zostałby zaliczony do jednostek wrogich, a co najmniej niepewnych. Nic już nie obroniłoby go, a być może i członków rodziny, przed przymusowym pożegnaniem się z rodzinną wsią i zesłaniem gdzieś daleko na wschód, albo na mroźną północ.

W najlepszym przypadku podobna lekkomyślność mogła spowodować zakwalifikowanie do grupy osób niedostatecznie uświadomionych, a więc mniej groźnych. Władza w stosunku do takich osób była wyrozumiała, nie zwalczała ich, ale dawała szansę na zmianę poglądów i osobowości oraz powrót do społeczeństwa poprzez odpowiednią pracę wychowawczą, resocjalizację.

Taką możliwość stwarzano głównie na dalekich budowach, tworzących potęgę socjalistycznego państwa. Wspólna praca, z największym poświęceniem i samozaparciem, osób bezgranicznie oddanych nowym ideałom, dawała szansę radykalnej zmiany na lepsze. Wiedziałem o tym z literatury szkolnej oraz z opowieści ojca. Ale ojciec o tych samych faktach, znanych bardziej lub mniej, mówił całkiem inaczej. Z książek wynikało, że wszystkie wielkie budowle inicjowane przez Partię i rząd, zawsze są realizowane patriotycznym zrywem całego narodu, że osoby wymagające reedukacji czasami też tam się znajdują, ale przeważnie z własnej inicjatywy dla udowodnienia, że zrozumiały swoje błędy. Mieli wtedy tylko jeden cel - poprzez ofiarną pracę powrócić do wielkiej rodziny wolnych ludzi budujących szczęśliwą przyszłość.

Ojciec twierdził, że na tamtych budowach nie było żadnych ochotników, a jedynie milionowe rzesze więźniów, skazanych za nie udowodnione i nigdy nie popełnione przestępstwa. Ciągłe powtarzał, że swoje wnioski wyciąga nie z książek pisanych na zamówienie władz, a z relacji osób, które ten okres już mają za sobą. Byłem do znudzenia przekonywany, że do radzieckiego więzienia można trafić nawet za wypowiedź, że kołchozowa krowa jest zagłodzona i wygląda nędznie. Jeszcze w Związku Radzieckim dowiedziałem się, iż kanał Wołga - Don, o którym dość często z głośnika słyszałem patriotyczną piosenkę, sławiącą dzieło i jego twórców, zbudowali nie patrioci, a więźniowie osądzeni za dowcipy o radzieckiej rzeczywistości. Podobno z jednej strony budowę realizowali ci, co dowcipy opowiadali, a z drugiej - ci co słuchali.

Chociaż często nie potrafiłem zrozumieć po czyjej stronie jest racja, ale wolałem nie sprawdzać, jaka jest prawda. Nie pragnąłem znaleźć się w grupie osób wymagających reedukacji, a takie zagrożenie istniało ciągle. Nawet z oficjalnych relacji wynikało, iż proces wychowawczy w państwie radzieckim nie został zakończony i ciągle nie kończą się pomysły na coraz nowe budowle, stwarzające miejsce pracy dla kolejnych zastępów niedostatecznie uświadomionych obywateli. Nie zdążyłem na szczęście zetknąć się z tą metodą działalności edukacyjnej. Podporządkowując się woli rodziców opuściłem tamten kraj, nie mając żadnego pojęcia o tym, czego mogę się spodziewać w Polsce.

Polska - jako kraj i ludzie - była wielką niewiadomą. Tak bardzo chciałem wiedzieć: lepiej tu będzie - czy gorzej?.. Na podstawie wiedzy szkolnej mogłem oczekiwać, że prawdziwa walka klasowa w Polsce jeszcze nie miała miejsca, ale czas jej rozpoczęcia zbliżał się nieuchronnie.

Tym bardziej, z rosnącym zainteresowaniem oczekiwałem na pierwsze spostrzeżenia z realiami, która już wkrótce będą dotyczyć również całej naszej rodziny. Pod jednym względem nie miałem wątpliwości. Wiedziałem, że po zachodniej stronie granicy będzie znacznie cieplej. Co prawda, w komunikatach radiowych o pogodzie nigdy nie wspomniano jaka temperatura panuje na terenie Polski, ale przecież z lekcji geografii wiedziałem doskonale, że w krajach zachodnich mrozy są znacznie niniejsze, zima krótsza, a zamiecie śnieżne zdarzają się wyjątkowo rzadko. Słyszałem też prawie codziennie, a zainteresowanie pod tym względem wzrastało w okresie zimowym, że na krańcach zachodnich Białorusi jest znacznie cieplej, niż w rejonach położonych bliżej Rosji. Spiker informował nieustannie, że im dalej na wschód, w kierunku Syberii, tym mrozy są większe.

Miałem nie najgorsze pojęcie o warunkach przyrodniczych po zachodniej stronie Bugu. Znacznie trudniej było wyobrazić ludzi, które rozmawiają całkiem innym językiem, posiadają odmienne nawyki i kulturę, czytaj ą książki i gazety wydrukowane innymi literami. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że zachodnia granica Związku Radzieckiego oddziela jakąś odmienną strefę i z tego powodu jest tak mocno strzeżona. Pamiętałem doskonale lekcje szkolne, na których słyszałem, że im dalej na Zachód, tym gorzej jest dla zwykłych ludzi, że

najbardziej o nich dba władza w Związku Radzieckim, a Polska podobnie jak pozostałe kraje „Demokracji Ludowej” znajduje się w strefie przejściowej i prawdziwa troska o ludzi pracy jest tam na etapie wstępnym. Rodzice przekonywali, że to wszystko jest kłamstwem... Kto w tym wszystkim miał rację? Kto mówił prawdę? Wiedziałem, że ojciec nie kłamie, ale czy nauczyciele mogli kłamać lub mylić się?.. Jak naprawdę wyglądało to wszystko w Polsce?..

Podobnie jak rodzice i bracia stałem przed lekko odsuniętymi drzwiami wagonu i na podstawie mijanego krajobrazu starałem się odnaleźć pierwsze szczegóły odróżniające Polskę od kraju, który opuściliśmy kilkadziesiąt minut temu. Nikt nie odzywał się, więc widocznie rodzice i rodzeństwo mieli podobne myśli. Widzieliśmy, że radziecka obsługa nie wsiadła do pociągu, choć po chwili ruszył i zaczął toczyć się dalej. Pociąg prowadzili polscy kolejarze. Poruszał się tak samo jak do miejsca wymiany załogi, a więc pod tym względem nie zmieniło się nic. Lokomotywa tak samo buchała kłębami pary, posłusznie rozpędzała się lub zwalniała, bo widocznie na jej funkcjonowanie nie miał żadnego wpływu krój munduru, jak też kształt czapki i wizerunek emblematu umieszczonego na niej. Dla lokomotywy był też obojętny język, w jakim maszynista odzywał się do swego pomocnika.

Za drzwiami wagonu przesuwaliśmy się wolno dość równinny krajobraz i nie wiem w którą stronę myśli podążały bardziej: do miasta kilkaset kilometrów przed nami, całkiem obcego, znanego jedynie w postaci kropki na mapie, czy do tamtego tak dobrze znanego i bardzo bliskiego, zostawionego za granicą, przekroczenie której w kierunku odwrotnym już nie będzie możliwe. Szczęścia tamtego kraju pilnie strzegli *pogranicznicy* z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Staliśmy się obcymi i już tam nie będziemy mogli powrócić, nawet gdyby się okazało, że w Polsce jest znacznie gorzej. Stało się coś, czego nie można odwrócić. W Polsce będzie nasza przyszłość, chociaż nie potrafiłem wyobrazić jej w żaden sposób.

Rodzice nadal nic nie mówili, bo widocznie samodzielnie próbowali odgadnąć jak będzie wyglądało nasze życie w najbliższych miesiącach, dalszych latach. Nie było wątpliwości, że oswojenie się z nową rzeczywistością w ich przypadku będzie znacznie łatwiejsze. Mieszkali w Polsce przed wojną i to nie jeden rok. Potrafili wrócić do języka ojczystego bez żadnego wysiłku. Wypowiadali się tak samo płynnie, jak my po rosyjsku. Ojciec, jeszcze kilka dni temu, rozmawiając z kolegami i znajomymi w swojej wsi, posługiwał się rosyjskim z taką łatwością i swobodą, iż wydawało się, że nie potrafi nic powiedzieć w jakimś innym języku. Może mniej płynnie, ale mama również potrafiła porozumieć się z Rosjanami. Teraz, w wagonie rozmawiali wyłącznie po polsku. Całej naszej czwórce rodzeństwa było daleko do takiej doskonałości, więc może również z tego powodu odzywaliśmy się wyjątkowo rzadko.

Rozmowy rodziców w języku polskim i całkowita ich rezygnacja z rosyjskiego tworzyły atmosferę, która nie istniała od dawna. Nie miałem wątpliwości, że język to nie tylko narzędzie porozumiewania się ludzi, ale też wyróżnik decydujący o przynależności do odrębnego narodu. Chociaż jeszcze tak niedawno słyszałem ciągle powtarzane słowa o konieczności uczenia się polskiego, to dopiero w wagonie zrozumiałem, że poprzez rodziców i język tworzę jedność z narodem, do którego w tej chwili wracamy. Zrozumiałem, że opuszczając Związek Radziecki stałem się faktycznie małą częścią kraju i narodu, do którego należały nie tylko rodzice, ale i poprzednie pokolenia.

Łzy, które pojawiły się w oczach rodziców, w momencie kiedy nasz wagon toczył się po stalowym moście nad Bugiem, wyschły dawno, ale nadal nie zauważałem radosnego uśmiechu na twarzach. Za drzwiami wagonu przesuwała się polska ziemia, polskie krajobrazy, ale nie słyszałem na ten temat żadnych słów komentarza. Może rodzice, tak samo jak ja, pragnęli ponownie przypomnieć i zauważyć szczegóły, które pozwolą odróżnić Polskę od Państwa Radzieckiego. Widocznie niczego charakterystycznego jeszcze nie było, bo nic

nie mówili. Towarzyszył nam nadal kilkustopniowy mróz, a śniegu na polach była być może podobna warstwa, jak po tamtej stronie rzeki, bo wszystko wyglądało tak samo białe. Nic nie sugerowało, że znaleźliśmy się w innym kraju, ale rozumiałem, że wyrażając zgodę by wagon wiozł nas dalej na zachód, wyraziliśmy zgodę na odrzucenie tego wszystkiego, co zostało na wschodzie.

Być może, gdyby była to inna pora roku, to byśmy natychmiast spostrzegli, że nie widać już nigdzie wielohektarowej monotonii kolchozowych obszarów, natomiast daleko, dokąd wzrok sięga, układa się kolorowa szachownica pól uprawianych przez indywidualnych rolników. Zima i śnieg wyrównały wszystko. Za drzwiami wagonu, ciągnęła się lekko pofalowana biała płaszczyzna, taka sama jak po tamtej stronie granicy.

W mijanych miejscowościach zauważaliśmy tablice informacyjne i jakieś plakaty z różnymi napisami i szyldami. Kształtem i barwami przypominały te, które widzieliśmy na trasie ze Stołpiec do Brześcia, ale napisy były inne. To była Polska! Wyrazy i hasła powstały z liter, których nie używano po tamtej stronie Bugu. Litery układały się w słowa, w języku polskim. Umiałem na tyle dobrze czytać i tak dobrze znałem język polski, że rozumiałem nawet ich treść.

Jechaliśmy dalej. Czasem mignął ktoś na ulicy lub wiejskiej drodze. Czasami było widać, jak mieszkańcy stoją i rozmawiają ze sobą. Po ubiorze, nawet z daleka dało się poznać, że znaleźliśmy się poza granicami kraju, który na szkolnej mapie rozpościerał się szeroko, wyróżniony jedną barwą jak ogromny monolit rządzony tymi samymi regułami. Już nie widziałem charakterystycznych rosyjskich czapek bez daszków lecz z nausznikami, które można zawiązać pod brodę. Niby drobny szczegół, ale potwierdzał inność kraju do którego wjechaliśmy.

Zauważyłbym większą różnicę, gdybym znalazł się obok którejś grupki osób i ewentualnie odezwał się po rosyjsku, zamiast po polsku. Patrzyliby na mnie z wielkim zdziwieniem, być może nie rozumiejąc większości słów, chociaż w mieście położonym kilkadziesiąt kilometrów na wschód, gdzie byliśmy kilka godzin temu, dla odmiany nikt nie rozmawiał po polsku.

A w naszym wagonie ojciec coraz ostrzej reagował na nasze wypowiedzi w języku rosyjskim. Twierdził, że od przekroczenia granicy nie chce słyszeć z naszych ust żadnego wyrazu po rosyjsku. Takie wymagania stawiał wcześniej, ale spełnienie żądań nie było łatwe. Przebywaliśmy, w zależności od wieku, od kilku do kilkunastu lat wśród osób nie znających języka polskiego. Intensywne kontakty z Rosjanami i Białorusinami stały się zjawiskiem powszechnym od chwili rozpoczęcia nauki w szkole. Kontakty z rówieśnikami, uczestnictwo na lekcjach - wszystko mobilizowało do osiągnięcia znajomości języka rosyjskiego na takim poziomie, który akceptowało całe otoczenie.

Nie było żadnych bodźców, prócz żądań rodziców, w kierunku nauki języka polskiego. W momencie opuszczania stron rodzinnych mieliśmy opanowany język rosyjski na takim poziomie, że żaden rozmówca nie mógł domyślić się, iż rozmawia z Polakami. Wypowiadaliśmy swoje myśli płynnie, bez wysiłku i poszukiwania słów, których ciągle brakowało, jeśli chciało się powiedzieć coś po polsku. Jakim sposobem po przekroczeniu granicy miała nastąpić radykalna zmiana?

Jechaliśmy dość wolno, do uszu docierały rytmiczne, monotonne uderzenia kół na stykach. Wystawiając głowę poza obręb wagonu mogliśmy ujrzeć daleko na początku lokomotywę, kopnącą i buchającą parą, a przed nami i z tyłu identyczne wagony z lekko odsuniętymi

drzwiami. Z każdego wychylały się sylwetki takich samych uchodźców. W tym czasie, kiedy pociąg jechał po zakręcie w najbliższych wagonach można było odróżnić twarze. Kto i gdzie czekał na nich?

Pierwszym większym miastem na naszej drodze była Biała Podlaska. Tu, po krótkich manewrach, cały skład wagonów znalazł się przy rampie. Zapowiadał się dłuższy postój, może nawet kilkugodzinny. Tutaj każdy musiał stanąć przed specjalną komisją, która sprawdzała dokumenty, wydawała „książeczki repatrianta”, oraz jakieś pieniądze w postaci pierwszej (i ostatniej) zapomogi. Pieniądze miały polskie napisy. Oglądaliśmy je ze wszystkich stron, próbowaliśmy zapamiętać.

Była też obowiązkowa kąpiel pod prysznicem, badanie lekarskie i nieoczekiwanie rozeszła się niewiarygodna informacja... Każdy repatriant ma się zgłosić na stołówkę, gdzie dostanie darmowy posiłek - talerz z gorącą zupą i chleb. Wydaje mi się, że nikt nie mógł spodziewać się tego. Przecież w ZSRR, nawet po całym dniu pracy na polu podczas zbierania ziemniaków nie otrzymywaliśmy nic. Ojciec ciągle powtarzał, że w ciągu kilku lat pracy w kolchozie nie otrzymał nawet tej przysłowiowej zupy. Nawet gdyby byliśmy głodni, to chyba nie przyszła by do głowy myśl, że ktoś tak się zatroszczy o nas... Trochę dziwna wydała się ta Polska.

Było to pierwsze spostrzeżenie z polskiej rzeczywistości, ale jednocześnie na tej samej stołówce przeżyliśmy szok, bo dziewczyny roznoszące talerze z zupą zamiast spódnic lub sukienek miały na sobie spodnie. Tak ubrane (rozebrane?) kobiety nie widziałem nigdy i nigdzie, a tym bardziej w miejscu publicznym. Po minach rodziców zrozumiałem, że oni również. Było to pierwsze zderzenie z całkiem innym światem. Jeszcze jednym elementem odmiennej rzeczywistości była pierwsza awantura ojca z polskimi władzami, bo nie chciały się zgodzić na skierowanie naszego wagonu do Szczytna, co opisałem szczegółowo w pierwszym tomie wspomnień pod tytułem: „Nad brzegami Niemna”.

Wagon nasz jednak pojechał do Szczytna. Ojciec nie ustąpił i nie wyraził zgody na wyjazd do jakiegokolwiek innej miejscowości, na Ziemiach Zachodnich. Awantura dała oczekiwany efekt, ale gniew ojca mijał stopniowo i jeszcze co najmniej kilkakrotnie przypominał głośno o tym, że musiał się wyklócać z biurokratami już podczas pierwszych godzin pobytu na terenie Polski.

W Białej Podlaskiej nie staliśmy długo i wkrótce wagon toczył się dalej. Na kilku stacjach, nie wiem który już raz przeżywaliśmy straszną szarpaninę podczas przestawiania wagonu z jednego pociągu do drugiego. Słyszeliśmy bliższy lub dalszy huk zderzaków, ale czasami dotyczyło to nas bezpośrednio, bo łoskot zwielokrotniony echem drżących drewnianych ścian rozlegał się tuż obok. Jednocześnie następowało na tyle mocne uderzenie, że cała rodzina była przerażona. Spoglądaliśmy wszyscy wzajemnie na siebie, myśląc być może o tym samym - czy ci polscy kolejarze nie pozabijają nas, albo nie pokaleczą?

Dość często po jednym uderzeniu i szarpnięciu następowała cała seria mniejszych, ale tak gwałtownych, że obronić się przed nimi było nie sposób. Na ten czas, ze względu na własne bezpieczeństwo, nikt nie wyglądał przez drzwi, które były odsunięte jedynie na szerokość kilkudziesięciu centymetrów - tyle, na ile pozwalał hak zaczepu. Mogliśmy cieszyć się jedynie z tego, że za każdym razem wszystko działo się w dzień, a nie w nocy chociaż z powodu przymkniętych drzwi panował w wagonie półmrok. W takich warunkach, ukryci przed światem zewnętrznym czuliśmy całkiem bezradni.

Tego typu przeżycie trwało czasami dość długo, aż w końcu potrafiliśmy z dużą dokładnością wyczuć moment, kiedy nastąpi najsilniejsze uderzenie. Wiedzieliśmy, że jeśli słyszymy

nasilające się gwałtowne dmuchnięcia z komina lokomotywy, która zdecydowanie przyśpiesza, a zestaw wagonów, razem z naszym, nabiera coraz większej prędkości, to w ciągu następnych paru chwil będziemy posuwać się rozpędem, a potem zderzymy się z innymi wagonami, stojącymi nieruchomo na torze. W takim momencie przesuwały się czasami nawet niektóre bagaże. Wiedzieliśmy, że będzie to kolejny sprawdzian dla nas, trzech najsilniejszych mężczyzn, bo przed takim uderzeniem razem z ojcem i młodszym Edkiem ustawialiśmy się przy motocyklu marki „Iż”, starając się go utrzymać w pozycji pionowej i nie dopuścić do tego, żeby wylądował na gorącym piecyku.

Mama, babcia i młodszy bracia musieli radzić sobie jakoś samodzielnie. Babcia, w pozycji leżącej cierpliwie znosiła to wszystko, bo prócz cichego pojękiwania z jej ust nie padła żadna skarga. Nie wiadomo o czym myślała. Być może ciągle zastanawiała się jakie zagrożenie stwarzała ułańska czapka syna dla potęgi państwa radzieckiego, ale na pewno nie spodziewała się takiej podróży w nieznaną, po opuszczeniu domu ojczystego. Być może w tamtym momencie przypominała sobie własną młodość oraz znacznie dłuższą i na pewno straszniejszą podróż na daleką Ukrainę, podczas pierwszej wojny światowej. Większe zdenerwowanie wykazywała mama, a ojciec robił się błądliwy i nie odzywał się wcale. Może nie chciał krytykować pracy polskich kolejarzy, a może uważał, że tak być powinno.

Podobna szarpanina, ale poprzecznie do kierunku jazdy, miała miejsce na trasie, kiedy pociąg jechał szybko. Były momenty, kiedy nie ukrywaliśmy przerażenia, bo wydawało się, że za moment wagon wyleci z szyn. Może wtedy myśli nasze leciały w przeciwnym kierunku niż podążał wagon, może żalowaliśmy tej chwili, kiedy opuściliśmy kraj ojczysty i solidne ściany rodzinnego domu, stając się teraz bezwolną igraszką polskiego maszynisty, który gdzieś tam na początku pociągu dorzucał co raz więcej węgla do kotła i bardziej rozpędzał pociąg, chyba nie zdając sobie sprawy, że nasz wagon za moment może wylecieć z szyn.

Dla mnie takie zachowanie się wagonu było bardzo dziwne, bo nie jeden raz jeździłem do Mińska, co prawda w wagonie osobowym, ale nie występowała w nim najmniejsza szarpanina poprzeczna w stosunku do kierunku jazdy, nawet przy największej prędkości. Czy odmienność Polski miała polegać na tym, żeby podczas jazdy ogarniało przerażenie?..

W pewnym momencie, na którejś kolejnej stacji, po całej serii zderzeń i szarpnięć, na moment wyjrzałem przez szparę w drzwiach, zabezpieczonych przed nieoczekiwanym przesunięciem. Wiedziałem, że uderzenie nastąpi odrobiną później. Na torach spostrzegłem jakiegoś kolejarza z chorągiewką. Nasze spojrzenia spotkały się, a on w tym samym momencie zaczął wymachiwać tą swoją chorągiewką, krzycząc jednocześnie do jakiegoś kolegi: „...zatrzymaj!.. nie rzucaj!.. tu są ludzie!... Znowu ta Biała Podlaska!... Raport na nich złożę!...”.

O dziwo, od tego momentu wagon toczył się spokojnie, szarpanina ustała. Potem nas odczepiono i zostawiono na jakimś bocznym torze. Mogliśmy teraz spokojnie, z boku oglądać jak rozpędzone wagony wtaczają się, na co raz inny tor i z hukiem *zderzają*, się jeden z drugim. Minął jeszcze jakiś czas i inny kolejarz przyniósł nalepki z jaskrawym, czerwonym napisem „Uwaga ludzie. Nie rzucać”. Dał też w małym słoiku klej i kazał kartki nakleić, możliwie wysoko na wszystkich czterech ścianach wagonu.

Od tego momentu skończyło się „szarpanie” i „rzucanie”. Doczepiano nas w pożądanym kierunku dojeżdżając powoli, bez rozpędzania. Przekonałem się, że nawet w polskim towarowym wagonie można nie obawiać się, że się wylądować na ścianie, albo w jakimś innym nieoczekiwanym miejscu, na przykład na gorącym piecyku, którego nie musieliśmy trzymać, bo był przyśrubowany do podłogi dostatecznie mocno.

Poprawa nastąpiła jednak tylko na stacjach. Podczas szybkiej jazdy na trasie rzucało nami jak poprzednio, bez żadnej litości i baliśmy się nadal, że w pewnym momencie wagon przewróci się i spadnie gdzieś z wysokiego nasypu. Czasami z przerażeniem spoglądałem na piecyk napełniony gorącymi węglami, zastanawiałem się, w jaki sposób uniknąć zderzenia z nim w chwili gdy wagon *zacznie* się przewracać, jak nie dopuścić do rozszerzenia się pożaru. Zetknięcie się z polską rzeczywistością na kolei, która według słów rodziców, w okresie przedwojennym należała do jednej z najlepszych w Europie, okazało się bardzo niemiłe. Trudno było zgadnąć, co czeka nas potem, jeśli dojedziemy szczęśliwie na miejsce...

Na razie było jeszcze do celu daleko, a nastał kolejny wieczór i zaszła konieczność zapalenia świeczki, żeby rozproszyć grudniowy mrok. Wagon już znajdował się w składzie kolejnego pociągu, ale jeszcze nie ruszał. W pewnym momencie w drzwiach ukazała się czapka i mundur, ale nie kolejarza. Zielony kolor i pagony z gwiazdkami świadczyły, że wchodzi oficer Wojska Polskiego. Był to brat mamy, wujek Witek. Uśmiechał się i zanim zdążył przywitać się, potrafił powiedzieć szczęśliwy, że wreszcie wyrwaliśmy się z tamtego „raju” i teraz będziemy razem, w Polsce. Cieszył się mocniej niż my i wyglądało, że oczekiwał na bardziej spontaniczne manifestowanie radości z naszej strony oraz okazywanie uczuć w gwałtowniejszej formie.

Babcia, tak samo jak jej wnuki, nie miała na ten temat żadnego zdania, a w słowach rodziców dało się zauważyć więcej troski niż radości. Z ust ojca padło ponowne stwierdzenie, że tam zostawiliśmy swoje, a tutaj jedziemy na cudze i „...tylko Bóg jeden wie jak tu będzie”. Po chwili uzupełnił swe wywody stwierdzeniem, że na razie widzi w tym wszystkim tylko jedną pozytywną stronę - nie grozi nam służba w sowieckiej armii, nie trafimy do kolchozu.

Po krótkiej wymianie informacji i po podzieleniu się pierwszymi wrażeniami, wujek powiedział, że musi wracać do samochodu, którym ścigał nas od Białej Podlaski, a nasz pociąg zaraz ruszy w dalszą drogę. Spotkamy się w Szczytnie. Nikt spośród nas nie wspomniał, że wagonem podczas jazdy tak strasznie rzuca. Domyśliłem się, że rodzice uznali, iż w Polsce jest to zjawisko normalne, a ponieważ o tym kraju nic nie wiedziałem, więc też nie odezwałem się, bo nie chciałem być uznany za kogoś, kto ma wątpliwości do poziomu technicznego polskiej kolei, umiejętności kolejarzy albo boi się szybkiej jazdy.

Na szczęście szybka jazda występowała nie zawsze. Przeważnie pociąg toczył się wolno, można było spokojnie obserwować mijany krajobraz. Zdawałem sobie sprawę, że jesteśmy coraz bliżej obszaru, który na mapie wyróżnia się wielką ilością plam o barwie symbolizującej wodę. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę, utwierdziliśmy się w przekonaniu, że klimat będzie tu inny, a zima bardziej łagodna. W swoich wnioskach chyba nie myliliśmy się, bo widzieliśmy coraz częstsze i większe plamy czarnej gleby wyzierającej spod białego okrycia. Na początku były to nieliczne wierzchołki, wystające nad równą białą płaszczyznę, ale w miarę mijanych kilometrów robiło się ich więcej, aż zaczęły się tworzyć długie czarne grzbiety, będące bruzdami po jesiennych orkach. Śnieg leżał jedynie w zagłębieniach. Zdawałem sobie sprawę, że podążamy na zachód gdzie zimy prawie nie ma, oddaliśmy się od krainy śnieżnych zamieci i wielkich mrozów. Nie powiedziałem głośno, ale poczułem, że tamte białe pola były mi bliższe. Zrozumiałem ponadto, że te pstrokate nie zapewnią możliwości jeżdżenia na nartach, które wiozłem w wagonie.

Polska wydawała się krajem cieplejszym, ale może takie uczucie powstawało nie z tego powodu, że cieplej było na zewnątrz, lecz dlatego, że jeszcze w Brześciu ojciec kazał przynieść jak najwięcej węgla do wagonu, a potem zapas uzupełniliśmy w Białej Podlaskiej. W jednym i drugim przypadku węgiel był bezpłatny i leżał na peronie. Podrzucaliśmy więc go do naszego piecyka, bez żadnych obaw że w pewnym momencie zabraknie.

Na jakimś odcinku drogi pociąg toczył się wolno obok sosnowego, niskiego lasu. Śniegu było tak mało, że widzieliśmy zamarzniętą, ale piaszczystą glebę i ojciec chyba z zadowoleniem stwierdził, że w tym miejscu jest wszystko prawie takie same, jak zostawiliśmy w „naszych stronach”. Słowa te dodały otuchy. Być może w tej Polsce nie wszystko będzie całkiem inne i obce. Po chwili jednak dowiedziałem się, że w takich warunkach życie jest ciężkie, bo „... co tu urośnie?”

Minęliśmy jeszcze kilka większych i mniejszych miejscowości aż wreszcie zobaczyliśmy czarne litery na prostokątnej białej tablicy, układające się w nazwę kolejnej stacji. W końcu ujrzelśmy tak oczekiwane Szczytno. Wagon toczył się wolniej i wkrótce zatrzymał się. Wzdłuż pociągu zaczęli chodzić kolejarze, coś oglądali, coś sprawdzali. Jeden szedł z małym młotkiem na długim trzonku i pukał w każdym wagonie gdzieś pod spodem. To samo zrobił również przy naszym, ale nie poszedł dalej, lecz zatrzymał się, popukał ponownie, potem schylił się i coś tam oglądał. Wreszcie przytrzymał młotek pod pachą, a w tym czasie wyjął jakiś blankiet. Coś napisał na małej karteczce i włożył pod ruchomą kratkę na bocznej ścianie wagonu.

Po chwili nastąpiło tak dobrze znane szarpnięcie i wagon zaczął toczyć się ponownie, ale wiedzieliśmy, że z tego miasta z nami już nie wyjedzie. Minęło kilka minut i znaleźliśmy się przy wysokiej rampie, takiej samej, jaka była po tamtej stronie granicy w Brześciu oraz na terenie Polski - w Białej Podlaskiej. Wyszliśmy z wagonu na zewnątrz. Podróż koleją dobiegła końca. Przyjechaliśmy do Szczytna. Granica została daleko.

Na peronie czekał wujek ze swoją rodziną. Po chwili poznaliśmy ciocię Helenę, ciotecznego brata Romka w wieku Edka i siostrę Alicję - dziesięć lat młodszą ode mnie. Na rampie znajdowała się też jakaś nieduża ciężarówka. Po przywitaniu się musieliśmy koniecznie zobaczyć i przeczytać kartkę, którą kolejarz doczepił do wagonu. Na kartce była krótka informacja: „Wagon uszkodzony, wycofany z ruchu”.

Na żadne rozmowy nie było czasu, bo krótki grudniowy dzień zbliżał się ku końcowi i musieliśmy śpieszyć się z przeładowaniem naszego dobytku na samochód. Dość szybko i sprawnie poradziłem sobie z tym i wyruszyliśmy do ostatniego etapu podróży, ale wkrótce kierowca zatrzymał samochód przy jakimś kiosku, zalecając nam kupienie świec. Okazało się, że we wsi nie ma energii elektrycznej. Takiej polskiej "nowoczesności" nie dało się przewidzieć w najgorszych wariantach. Lampę naftową zostawiliśmy świadomie, ponieważ byliśmy przekonani, że w Polsce, w miejscowości, która znajduje się nie dalej jak trzy kilometry od miasta energia elektryczna jest na pewno, tym bardziej że od zakończenia wojny minęła aż 13 lat.

Kolejne zetknięcie się z realiami kraju, o którym pozytywne opinie tworzyły rodzice, a wujek Witek wręcz idealne, okazało się szokująco niemiłe. Pierwszym samodzielny zakupem na terenie Polski były świece, które miały rozświetlić grudniowy mrok w naszym nowym mieszkaniu. Co najmniej mnie zabrakło polskich słów żeby wyrazić swoje zdziwienie. Po rosyjsku nie mogłem odezwać się, bo pamiętałem dobrze ostrzeżenie ojca. Swojego zdziwienia nie mogłem wyrazić w żaden sposób. Kierowca przy tej okazji, z wymownym uśmiechem, poinformował osobę z kiosku, żeby dała tych świec więcej, bo jesteśmy repatriantami z Rosji i teraz z radości będziemy pić wódkę do samego rana, a bez świec tego zrobić się nie da. Pomyślałem, że zacofanie techniczne w Polsce jest przerażające. Przyjechaliśmy tu po to, by wrócić do epoki, w której mieszkania oświetla się świecami. Tego nikt z nas nie mógł przewidzieć. Czym jeszcze zaskoczy ten kraj?

Pierwszemu zdziwieniu towarzyszyło nie mniejsze rozczarowanie. Nie włączymy żadnego odbiornika „Mińsk” z zakresem fal długich, średnich i krótkich oraz zamontowanym na górze adapterem. Nie mieliśmy wątpliwości, że taka możliwość będzie istniała, kiedy zajedziemy na miejsce i wreszcie sprawdzimy jak się przestraja odbiornik z fali na falę. O tym marzyliśmy od momentu, kiedy ten wielki, ładny aparat stał się naszą własnością, na kilka dni przed wyjazdem.

To, że nie dało się go natychmiast podłączyć do gniazdka, bo we wsi nie było energii elektrycznej, wcale nie przeszkadzało żeby znowu i znowu podchodzić do odbiornika, kręcić pokrętkami, przyciskać przełączniki, odczytywać nazwy miast, z których przy danym ustawieniu będzie rozlegać się muzyka lub śpiew z chwilą, kiedy znajdziemy się w nowym mieszkaniu, w Polsce. Nie mieliśmy wątpliwości, że w Polsce, w mieszkaniu do którego jedziemy, jest energia elektryczna i jedną z pierwszych czynności będzie włączenie radia. Polska okazała się niestety całkiem innym krajem.

W Związku Radzieckim w naszym mieszkaniu, tak jak i w domach pozostałych mieszkańców był głośnik, z którego wesoło brzmiała muzyka i śpiew, a w ustalonych godzinach spiker informował o kolejnych osiągnięciach narodu radzieckiego i nowych próbach zakłócenia biegu historii przez siły imperialistyczne. Był to jednak tylko głośnik. Sterowanie odbywało się w Stołpcach, zgodnie z centralnie ustalonym programem, jednolicie dla całej republiki. Już wtedy tak bardzo chciało się w tym zakresie uzyskać samodzielność. Niestety marzenia należało przełożyć na czas nieokreślony. Do najbliższego gniazdka z napięciem było kilka kilometrów.

Nie wiem z jakiego powodu, ale jechałem w kabinie z kierowcą. Pytał się skąd jesteśmy i jak się spodobała Polska. Odpowiadałem wolno, jaskając się bo musiałem odpowiadać po polsku, a brakowało najprostszych słów umożliwiających przekazanie myśli. Po chwili miałem kolejną, niewiarygodną informację. Okazało się, że kierowca jest właścicielem ciężarówki. Co prawda nie była wielka, chyba nie nowa, ale była prywatną własnością!!!

Kiedy o tym dowiedziałem się, to naprawdę zabrakło mi słów i chyba nawet po rosyjsku nie potrafiłbym wyrazić swego zdziwienia. Kierowca w tym czasie zachowywał się bardzo dziwnie, bo zaczął się pytać, czy w Związku Radzieckim istnieje własność prywatna. Odpowiedziałem, że naturalnie jest tam własność prywatna. Własny był nasz dom i wszystko, co się w nim znajdowało. Podwórko oczywiście należało do kołchozu, ale to nie istotny szczegół. Szokujące było to, że ten kapitalista chciał wiedzieć, czy można tam mieć na własność ciężarowy samochód, ziemię, jakiś warsztat? Mogłem spodziewać się wszystkiego, ale nie takich pytań od osoby, która mieszkała w Polsce, tj. kraju, budującym socjalizm, na wzór Związku Radzieckiego.

Nie potrafiłem skupić myśli. Zacząłem coś wyjaśniać, ale samochód w tym czasie zjechał z asfaltu na leśną drogę. Po obu stronach rosły wysokie sosny, takie jak w „naszych stronach”. Kierowcy zadał jeszcze jakieś dziwne informacje o tym, co wolno mieć w Polsce, usłyszałem też podobne pytania na temat tego, co jest zabronione, a co dozwolone w Rosji. Chyba nie potrafiłem zrozumieć wszystkiego, o czym mówił kierowca. Na szczęście spostrzegłem, iż zbliżamy się do celu podróży i nie muszę odpowiadać na żadne pytanie..

Las się kończył, droga lekko skręcała prawie stykając się z obszerną, białą płaszczyzną. Domyśliłem się, że jest to zamrożone jezioro. Po drugiej stronie drogi stał rząd prawie jednakowych domów z czerwonej cegły. Na podstawie wcześniejszych informacji wujka wiedziałem, że będziemy teraz mieszkać w tej wsi.

Zatrzymaliśmy się przed jednym z ostatnich domów. Wjazd na podwórko prowadził pod niedużą, ale dość wyraźną górkę. Teren po drugiej stronie wąskiej drogi nadal opadał, aż do styku z białą, równą płaszczyzną. Było to zamarznięte jezioro i w tym momencie zdążyłem wymienić z braćmi krótkie uwagi, że latem będziemy mogli kąpać się częściej, niż w Niemnie. Taka wersja odpowiadała nam jak najbardziej. Może w tej Polsce będziemy mieli lepiej?..

Byliśmy na miejscu. Kierowca miał wjechać jeszcze na podwórko, lecz przez moment rozglądał się, mówił głośno, że wjazd jest niewygodny, ale wreszcie usłyszeliśmy głośniejszą pracę silnika, samochód wolno ruszył, ręce prywatnego właściciela ciężarówki zaczęły energicznie obracać kołem kierownicy. Okazało się, że narzekania były zbędne, bo samochód bez żadnych problemów wtoczył się na podwórko, które miało stać się naszym. W ten sposób, wieczorem 12 grudnia 1958 roku zakończyła się podróż, którą rozpoczęliśmy nie tak dawno, bo wczesnym rankiem szóstego grudnia.

Teraz należało zdjąć z samochodu nasze pakunki i zanieść do domu. Przystąpiliśmy do pracy bez żadnej zwłoki jednak już w pełnym mroku, bo słońce schowało się nie tylko za chmurami, ale i za pobliskim lasem. W takich warunkach nie dało się rozpoznać twarzy pierwszego mieszkańca, który widocznie przechodził ulicą zmierzając do swego domu i kierowany zwykłą ciekawością wszedł na „nasze” podwórko przez otwartą bramę, żeby zobaczyć przybyszy. Powiedział wszystkim „dzień dobry”, potem wysłuchał relacji kierowcy, że przyjechaliśmy z Rosji i zaraz po rozładunku zaczniemy pić wódkę, bo świec kupiliśmy dużo, wystarczy na całą noc. Potem powstał chwilę w milczeniu, przyglądając się jak uwijamy się zdejmując pakunki i układając bezpośrednio na ziemi. Widocznie został przekonany w końcu, że skoro tak bardzo śpieszymy się do „picia”, to nie znajdziemy czasu na rozmowy, bo mruknął wreszcie „do widzenia” i odszedł ginąc w ciemnościach.

Nie wywołało to wśród nas większego zainteresowania, tym bardziej, że powstał pierwszy kłopot. Do mieszkania nie dało się wejść - nie mieliśmy kluczy. Widocznie wujek, załatwiający wszystkie wstępne uzgodnienia związane z objęciem na własność domu i gospodarstwa przez naszą rodzinę, zapomniał o tak istotnym drobiazgu. Ale o tej godzinie nie pracował już żaden urząd, nie było do kogo się udać. Nie mogliśmy jednak zostać na podwórku, tuż obok domu w którym mieliśmy zamieszkać. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wejść do środka przez małe okienko prowadzące na strych i spróbować, czy nie da się otworzyć drzwi od wewnątrz. Edek był na tyle mały i szczupły, że w okienku mieścił się bez trudu, na tyle lekki, że było go łatwo podsadzić i na tyle duży, że mógł coś zdziałać samodzielnie.

Podsadzono brata do góry. Chwilę przyglądaliśmy się jak się szarpie z okienkiem i przytrzymującymi go gwoździemi. Za moment przejście było wolne i brat zniknął w ciemnym wnętrzu. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na wyniki tej wyprawy, a nasz bohater w tym czasie pokonując strach i narastającą dumą, że pierwszy bada nieznane wnętrze, szukał drogi do drzwi w ciemnościach. Tego wieczoru nie zdążył wszystkiego opowiedzieć, ale wracał do szczegółów przy każdej nadążającej się okazji.

Edek był pierwszą osobą, która weszła do tamtego domu. Został w nim najdłużej, bo mieszka nadal. Pozostała trójka, nas braci, w różnym czasie opuściła również ten dom rodziców, zakładając swoje rodziny. Nikt nie opuścił Mazur, bo najmłodszy brat Kazik zamieszkał w Szczytnie, starszy Józek w pobliżu Szczytna (osada Kamionek), a jedynie ja trafiłem do odległego o sto kilometrów Giżycka.

Brat *znalazł* schody prowadzące na dół i zszedł na parter, a potem po omacku dotarł do drzwi wejściowych. Nie wiem dzisiaj, a może nie wiedziałem i wtedy, z jakiego powodu nie miał żadnej latarki. Być może, ten pomysł nie przyszedł nikomu do głowy, a najpewniej nikt nie miał takiego urządzenia.

Kombinowanie z drzwiami od wewnątrz dało efekt. Edek znalazł wreszcie zasuwkę i drzwi otworzyły się. W mieszkaniu zapaliliśmy kilka świec i ich nikłe, chwiejące się płomienie oświetliły szare ściany i ciemne podłogi, które w najmniejszym stopniu nie przypominały tamtych solidnych i stabilnych w mieszkaniu, które zostało daleko. Szybko zorientowaliśmy się, chodząc ze świecami po całym dość dużym mieszkaniu, że najgorsze, najbardziej zniszczone podłogi są w najładniejszych pokojach.

Ten stan chyba nie przeszkadzał wcale wujkowi, ponieważ stwierdził, że to żaden problem, bo do gospodarstwa należy jakaś parcela lasu i bez trudu można będzie uzyskać zezwolenie na wycięcie kilku sosen, żeby zawieść do tartaku i naprawić podłogę nowymi deskami. Nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że tam zostawiliśmy dom wykonany z drewna, a tu będziemy mieli murowany. Ta wypowiedź nie poprawiła co najmniej mego humoru, bo wiedziałem, że ściany drewniane są znacznie cieplejsze i miłsze niż mur ceglany. Zdążyłem też zauważyć, że na ogrzanie dwóch pokoi przeznaczony jest tylko jeden piec, znacznie niniejszy od tego, który został w naszym mieszkaniu.

Najważniejsze było jednak nie to. Z wypowiedzi wujka wynikało, że będziemy właścicielami pola i potrafiłem to jakoś zrozumieć, bo pamiętałem jeszcze okres przed nastaniem kołchozów. Oszałamiająco brzmiała natomiast informacja, że będziemy właścicielami lasu! W Związku Radzieckim nawet podwórko było nie nasze. Dziwnym krajem wydała się Polska, budująca dobrobyt socjalistyczny.

Wujkowi to nie przeszkadzało i być może z tego powodu nadal najbardziej się cieszył, aż w pewnym momencie swoje wywody uzupełnił podsumowaniem, że będziemy teraz tu mieszkać, tu będzie nasz dom, tu „...mamy *zapuszczać* korzenie”. Nie wiem, jakie wrażenie zrobiła ta wypowiedź na innych członkach rodziny, lecz przyjąłem ją dość chłodno. Poczułem jakiś smutek, chociaż w tamtej chwili nie obchodziło mnie wcale, czy będzie tu lepiej, czy gorzej. Uświadomiłem sobie jeszcze raz, że stało się coś, co jest nieodwracalne i zamknął się jakiś rozdział w moim krótkim życiu. O przyszłości nie potrafiłem myśleć.

Nie było jednak czasu, żeby zastanawiać się nad tym dłużej. Należało jak najszybciej wnieść *rzeczy* do domu, do którego zapraszały małe płomyki świec, które chwiały się i migały nieśmiało w powiewach zimowego powietrza. Nieustannie napływało ono do wnętrza przez otwarte drzwi, jeszcze bardziej schładzając mieszkanie, które nie było ogrzewane od dawna.

Po kilku nieudanych próbach, ustawiliśmy na środku największego pokoju stół, tak żeby stał równo, a żadna noga nie trafiała w wygnitą dziurę. Dzięki zapobiegliwości ojca mieliśmy też na czym usiąść. Zabraliśmy ze sobą drewniane, składane przedwojenne krzesła. Przywędrowały z nami do Polski, ale każdy musiał ustawić je samodzielnie tak, żeby nóżki nie trafiały w dziury, żeby *znalazły* się na zdrowych kawałkach desek.

Mama w tym czasie zdążyła odnaleźć coś wśród zapasów na pierwszą kolację. Oczywiście nakroiła grubej słoniny, a polskie poczęstunki postawiła na stole ciocia Helena. Znaleźliśmy też jakieś drewno do rozpalenia ognia w kuchni i po chwili miłe huczenie rozległo się pod naszym czajnikiem z pierwszą wodą nabraną z ręcznej pompy, wspólnej dla całej wsi, a umieszczonej na środku krótkiej uliczki. Tam, gdzie został nasz dom wodę mieliśmy swoją, ze studni na naszym podwórku. Czy i kiedy zapomnimy jej smak?

Drewno, choć cudze i włożone do obcego paleniska, paliło się wesoło, tak samo jak w domu, w którym wyrosłem. Poprzez pęknięcia i nieszczelności blatu, płomienie rzucały migocące smugi światła na najbliższą ścianę i sufit. Być może od tej chwili było by milej i bardziej swojsko, tak jak powinno być w cichy zimowy wieczór, gdyby ściany i sufit nie były tak szare i smutne.

Obok, w pokoju było znacznie widniej, choć brakowało tam lampy naftowej z ciepłym, żółtawym płomieniem za lekko przykopconym szkłem. Kilka świec próbowało ją zastąpić, a ich chybocące się światło odbijało się w szklankach z gorącą herbatą, która już trafiła na stół. *Znalazła* się tam również butelka z zimną radziecką wódką, do której dostęp w tamtym kraju był bez ograniczeń, bez konieczności stania w kolejkach. Nie wiem ile butelek tego rozweselającego płynu przywieźli rodzice, z przeznaczeniem nie tylko na pierwsze poczęstunki podczas rodzinnych spotkań, ale i na jakieś inne okazje. Chociaż nie było pijaństwa do świtu, o którym tak chętnie i kilkakrotnie wspominał kierowca, właściciel ciężarówki, to pierwsze wieczorne rozmowy w nowym mieszkaniu trwały dość długo. Rodzice wspominali swoją młodość, opowiadali o życiu w okresie rozłąki, ale najczęściej zastanawiali się nad tym, co czeka nas w Polsce. Zarówno wujek jak i ciocia nieustannie, wielokrotnie wracali w swych wypowiedziach do tego, że podjęliśmy jedyną słuszną decyzję, że na tamtych terenach nie mogliśmy pozostać, bo Polska tam już nie wróci, a teraz jesteśmy w swoim kraju, tu gdzie mieszka cała rodzina.

W tym czasie nasz brat cioteczny, Romek, wyciągnął przenośne radio „Szarotka”, informując, że zaraz usłyszymy polską muzykę, śpiew, wiadomości. Na naszą uwagę, że przecież nie ma energii elektrycznej odpowiedział, że to jest takie radio, jakiego nie mogliśmy zobaczyć w zacofanej Rosji, bo posiada akumulatorki i może pracować również tam, gdzie nie ma energii elektrycznej. Oczywiście mała „Szarotka” nie mogła zastąpić naszego „Mińska”, ale pomyślałem sobie, że dobre i to. Niech sobie pogra. Romek włączył aparat. Usłyszeliśmy jakieś szумы i piski, ale innych, bardziej oczekiwanych dźwięków radio nie wydało. Nie przynosiło żadnych efektów chodzenie po pokoju, kręcenie aparatem, manipulowanie pokrętłami. Nie dało się usłyszeć żadnego koncertu ani wiadomości z żadnego miasta, również z Warszawy. Cóż, okazało się, iż bardziej niezawodny był radziecki głośnik, z jednym jedynym pokrętłem, którym regulowało się tylko głośność, niż polskie radyjko na akumulatorki.

W następnym dniu spałem znacznie dłużej niż rodzice. Widocznie tak bardzo przyzwyczaili do wcześniejszego wstawania w dawnych latach, kiedy gospodarzyli na swoim, że teraz na samą myśl, iż wkrótce będą ponownie gospodarzami na własnej ziemi wystarczyła, żeby obudzić się i wstać znacznie wcześniej, niż była taka potrzeba. Może powodem była chęć obejrzenia najbliższego otoczenia, a może po prostu chcieli jak najszybciej rozpaść ogień w piecu, bo w mieszkaniu było zimno.

Mieliśmy szczęście. Poprzedni właściciel zostawił pod szopą trochę narąbanego drewna. Co prawda nie tak dużo jak my w Okińczycach, bo rodzina która zamieszkała po nas nie musiała tym problemem martwić wcale. Naszykowaliśmy drewna jak zwykle na całą zimę, żeby nie było kłopotów nawet w przypadku największych mrozów. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, wyjedziemy do Polski, czy zostaniemy w Związku Radzieckim. Wszystkie grubsze kloce, będące efektem ostatnich miesięcy mojej pracy w lesie, w pobliżu wsi, *znalazły* się na naszym podwórku.

Tutaj, być może poprzedni właściciel już wcześniej wiedział o terminie wyjazdu i nie miał zamiaru tworzyć zapasów na zimę, nie chciał robić prezentu komuś, kto zamieszka po nim. Wystarczająco przeżywał, że zostawia dom, który być może sam zbudował. Dom nie był

mały, choć ogólny układ nie bardzo nam się podobał, ale za to znajdował się nad ładnym jeziorkiem, w pobliżu sosnowego lasu, który latem odbijał się w gładkiej tafli, jak w lustrze. Na pewno tego obejścia nikt nie opuścił bez żalu i smutku.

Natomiast nam już od samego rana coś nie podobało się znowu. Nie podobało się, że ogień z kuchenki ucieka od razu do komina, że piec, chociaż zbudowany z kafli, rozgrzewa się słabo. Dość szybko zauważyliśmy, że na podwórku było znacznie cieplej niż w kraju z którego przyjechaliśmy, ale w mieszkaniu było niewspółmiernie zimniej. Na te uwagi wujek znowu *znalazł* wytłumaczenie, że piec stopniowo rozgrzeje się i w mieszkaniu po jakimś czasie też zrobi się cieplej.

Być może było by cieplej i milej, gdyby prócz zimnego powietrza nie wciskała się mgła, która pojawiła się w nocy i osłoniła wszystko wokół. Przyjechaliśmy do wsi wieczorem, kiedy chowa się słońce i nadciąga nocna ciemność. Nie zastanawialiśmy się jaka będzie pogoda rano, ale sądziliśmy, że umożliwi obejrzenie przynajmniej najbliższych okolic. Niestety, pierwsze spojrzenie przez okno wykazało, że wszystko wokół jest zasłonięte białą, wilgotną zawiesiną

Dość szybko ułożyliśmy sobie teorię, że w kraju do którego los nas zagonił będzie tak często, bo prócz jezior, całkiem blisko zaczyna się morze. Więc trudno tu spodziewać się pięknych słonecznych dni, mroźnej zimy i gorącego lata. Będziemy mieszkać w tej mgle, nie zobaczymy błękitnego nieba, ani nawet najbliższych krajobrazów. Taka będzie ta polska, lepsza rzeczywistość.

Pomimo mgły, wyszliśmy z domu, żeby obejrzeć chociaż pokryte lodem jeziorko. Droga wokół niego trwała na tyle krótko, że radość dnia poprzedniego uległa zachwianiu. Byliśmy pewni, że na kąpiel warunki będą wręcz idealne, ale nie było też wątpliwości, że nie będzie tu warunków na długie wędrówki z wędkami w rękę wzdłuż krętych brzegów, w poszukiwaniu wciąż nowych i bardziej głębokich zakrętów, jak to miało miejsce nad brzegami naszego Niemna. Zbyt oczywisty był fakt, że woda w jeziorze nie płynie, że nie ma żadnego nurtu. Nie ujrzymy więc już nigdy pięknych zakoli, z głębiną po jednej stronie, a piaszczystą płyczną po drugiej. Obawialiśmy się, że zabraknie tu nawet miejsca na gorącą plażę z sypkim piaskiem. Głośno powiedzieliśmy, całą czwórką braci, że ciężko będzie wytrzymać w okresie letnim bez tych atrakcji, które zapewniał Niemen.

Podtrzymywaliśmy siebie na duchu, tworząc na oczekaniu nadzieję, że być może coś podobnego do brzegów Niemna znajdziemy nad innym jeziorem, bo z mapy wynikało, że przyroda obdarzyła nimi wyjątkowo szczerze całą okolicę.

Już od pierwszych dni naszego pobytu w nowym miejscu zaczęli odwiedzać nas coraz inni mieszkańcy sąsiednich domów. Ktoś przyniósł naręcze drzewa, ktoś mleka, a jeszcze inny -worek ziemniaków. Rodzice dziękowali za dary, opowiadali skąd jesteśmy i dlaczego przyjechaliśmy do Polski, a jednocześnie uzyskiwali informacje o tym jak się żyje tu, w Polsce. Podczas rozmów nie sposób było nie wspomnieć o gęstej, białej mgle, która nie chciała ustąpić w ciągu kilku kolejnych dni. Nasz smutek wzrastał jeszcze bardziej, kiedy z ust mieszkańców padały stwierdzenia, że tak już tu jest, że lato i zima są bardzo wilgotne i na stare lata wszystkich „skręca”, wszystkie starsze osoby zaczynają chorować na reumatyzm. Tylko jeden sąsiad widział wszystko całkiem inaczej, bo powiedział do mamy pewnie i budująco, że mgła nie będzie zawsze, że wkrótce zginie, na niebie ukaże się słońce, a wraz z nadejściem lata rozpoczną się upały i można będzie wygrzać się na zapas, więc nie ma powodów do zmartwień.

Chyba po kilku dniach od momentu przyjazdu stwierdziliśmy, że nasze obawy odnośnie trudności z ogrzaniem mieszkania do większej temperatury potwierdzają się w całej rozciągłości. Niewielka stertka drzewa, którą zostawił poprzedni właściciel, zmniejszała się z dnia na dzień i nie było wątpliwości, że wkrótce znikną ostatnie polana. W mieszkaniu było zimno, a prócz tego mama skarżyła się prawie codziennie, że wyjątkowo ciężko jest gotować każdy posiłek na kuchence, do której bez przerwy trzeba dokładać drewno. Widzieliśmy, że całe ciepło wraz z płomieniami ulatuje do komina, a w tamtym domu, który został daleko na wschodzie, rozgrzana masa cegieł „ruskiego pieca” promieniowało ciepło przez cały dzień. Nie wystygła on do końca w ciągu całej zimy, a ponadto wstawione do wnętrza garnki „gotowały się same”. Nałożone do wnętrza drewno spalało się powoli i tworzyło wielką stertę żaru, który utrzymywał potem wysoką temperaturę w ciągu wielu godzin. W efekcie, w ciągu całego dnia z gorących cegieł promieniowało ciepło, tworząc w mieszkaniu miłą atmosferę, pomimo mrozu i szalejącej zamieci za szybami okien.

O tym, że w nowym, ponemieckim mieszkaniu jest zimno marudziliśmy prawie bez przerwy, dziwiliśmy się jak poprzedni właściciele mogli mieszkać w takich warunkach, dochodziliśmy do wniosku, że właśnie zimne mieszkanie jest powodem reumatyzmu, a nie zdarzające się czasami mgły i pobliskie jeziora. Jednak, jak zwykle ojciec na ten temat miał całkiem odmienne zdanie i twierdził, że skoro słupek rtęci w termometrze przekracza granicę dziesięciu stopni, to nie ma powodów do narzekań. Nie omieszkął przy tym dodać, jaki chłód panował w barakach, w czasie austriackiej niewoli, a potem dość często zaczynał swoje długie wywody o tym, jak bardzo powinniśmy cieszyć się, że ominęły nas kołchozy, radziecka rzeczywistość, służba w tamtej armii. Na zakończenie, w postaci ostatecznego argumentu kończącego dyskusję oświadczał, że nie mamy powodów ani do narzekań, ani do krytykowania tego, co zastaliśmy tu, bo we własnym zakresie jeszcze nic nie zbudowaliśmy. Będziemy mieli prawo do krytykowania, kiedy zrobimy coś lepszego, własnymi rękoma, w oparciu o własne pomysły. Dodawał czasami, że do domu zostawionego w „naszych stronach” tylko on tęsknić może najbardziej, bo sam go zbudował.

Chociaż takie postawienie sprawy faktycznie kończyło dyskusję, to od ścian nadal „ciągnęło” chłodem, w mieszkaniu było zimno. Dość długo układaliśmy plany, w jaki sposób i gdzie wybudujemy „ruski piec”, może nie tak okazały, ale przynajmniej spełniający podstawowe funkcje. Wiedzieliśmy, że będziemy gospodarzyć na własnej ziemi, będziemy mieli swoją mąkę. Powstanie możliwość pieczenia chleba, a jedyną przeszkodą w zrealizowaniu tego marzenia jak na razie jest brak odpowiedniego pieca. Jednak, w miarę jak mijały kolejne miesiące o piecu wspominaliśmy co raz rzadziej, a potem temat ten przestał istnieć. Okazało się, że chleb można było kupić w Szczytnie i to bez żadnych problemów. Dziwnym krajem okazała się ta Polska. Energii elektrycznej we wsi nie było, ale chleb w sklepach był zawsze, o dowolnej porze, a co było jeszcze bardziej dziwne - nie ustawiała się do niego żadna kolejka.

Jeszcze dziwniejsze było to, że dość często widzieliśmy w sprzedaży nawet kiełbasę. Oczywiście rodzice kiełbas nie kupowali. Przecież nikt nie pracował, nikt nie zarabiał, a pieniądze uzyskiwane ze sprzedaży niektórych artykułów przywiezionych ze Związku Radzieckiego należało przeznaczyć w pierwszej kolejności na zakupy związane ze zbliżającą się wiosną, a więc zapewniające te pierwsze kroki na własnej gospodarce. Nie mieliśmy żadnych zwierząt gospodarczych, nasion, najprostszyc narzędzi.

Rodzice szybko, chyba z radością a może i entuzjazmem wracali do obowiązków gospodarzy, do tego, co tak gwałtownie i bezwzględnie zabrał kołchoz. Słyszałem niekończące się rozmowy z sąsiadami, które odwiedzały nas może nie codziennie, ale bardzo często.

Rozmowy dotyczyły okoliczności przyjazdu na te tereny, przebiegu i skutków ostatniej wojny, o której nie mogli w żaden sposób zapomnieć, chociaż już kilkanaście lat żyli w pokoju. Najczęściej jednak dyskutowali o tym jak się gospodarzy, jak lepiej uprawiać ziemię, żeby dawała lepsze plony. Między sobą rodzice najczęściej rozmawiali o tym, że już wkrótce zaczną się praca na swojej ziemi. Byli przekonani, że jeżeli potrafiliby wytrwać w warunkach kołchozowych, uprawiając niewielką działkę, to tutaj na kilkuhektarowym gospodarstwie nasze warunki życiowe będą bez porównania lepsze.

Czas kołchozów minął jak zły sen, ale o tamtych latach ojciec opowiadał nieustannie nie tylko sąsiadom. Do tematu powracał często, kiedy w wolnym czasie miał przy sobie całą rodzinę. Być może słusznie uważał, że jego synowie nie zdążyli na dobre *zapoznać* się z tamtymi realiami i pragnął kolejny raz powtórzyć dobrze znane historie.

Chyba z entuzjazmem przyjął na siebie cały ciężar załatwiania spraw urzędowych. Był jeszcze na tyle silny, zdrowy i wiedział do czego dąży, mimo swych prawie siedemdziesięciu lat, że pod tym względem starał się ze wszystkim radzić samodzielnie. Oczekiwał od nas pomocy tylko w wyjątkowych przypadkach, szczególnie tam gdzie był niezbędny większy wysiłek fizyczny. Tak też było, kiedy nieoczekiwanie dowiedziałem się, iż w następnym dniu od samego rana pójdziemy do lasu, przygotować drewno na opał. Zima przecież dopiero się zaczęła, a nie możemy liczyć, że ktoś zrobi to za nas. Usłyszałem ponadto, że już jest wszystko załatwione nie tylko w nadleśnictwie, ale i z sąsiadem, który z wielką chęcią ofiarował się przywieźć drewno na nasze podwórko. Za tę przysługę nie chciał żadnej zapłaty.

Opisując nasze pierwsze tygodnie i miesiące w nowym miejscu, w nowym otoczeniu, popełniłbym wielki nietakt w stosunku do wszystkich sąsiadów, gdybym zapomniał, że od pierwszych dni naszego pobytu w tej małej wiosce spotkaliśmy się z wielką życzliwością i szczerą pomocą z ich strony. Być może pamiętali zbyt dobrze tamte pierwsze tygodnie i miesiące, kiedy przyjechali tu ze swoich stron ojczystych, przeważnie z Kurpiowszczyzny i mieli podobne kłopoty, przeżywali takie same rozterki. Ale z taką samą życzliwością odnosili się do nas tak zwani „autochtoni”, którzy chyba łatwiej wypowiadali swe myśli po niemiecku, niż po polsku. Może chęć pomocy ze strony jednych i drugich wynikała głównie z tego powodu, że ludzie w stosunku do siebie są z reguły życzliwi, bez względu na narodowość i przynależność państwową.

Udaliśmy się więc pewnego poranka do lasu w to miejsce, które dzień wcześniej jakiś pracownik nadleśnictwa pokazał ojcu. Leżały tam ścięte potężne świerki. Mieliśmy obrąbać z nich gałęzie, a potem mogliśmy je zabrać, bo należna kwota do nadleśnictwa została już zapłacona. Ojciec przy okazji porównał tą zasadę z regułami obowiązującymi w państwie radzieckim. Stwierdził, że tam za gałęzie nikt nie brał opłaty. Nie mogę sobie przypomnieć, czy opowiadał jak było w Polsce przedwojennej.

Ten szczegół dla ojca był dziwny, dla mnie obojętny, ale żadnego z nas nie ucieszył śnieg, który po nocy świeżą i grubą warstwą przykrył zarówno ziemię, jak i świerki czekające na nasze siekiery. Po pierwszym zetknięciu się z ośnieżonymi gałęziami gołe ręce zrobiły się mokre i szybko odczuły działanie mrozu. Trwało to jednak krótko, bo w wyniku energicznego machania siekierą, a następnie przerzucania i przenoszenia gałęzi na jeden stos robiło się coraz cieplej i do momentu zakończenia pracy już nie czuło się zimna. Nie mieliśmy żadnych rękawic, a ponadto ojciec głosił ciągle pogląd, że podczas pracy ręce nie marzną. Twierdził, że człowiek marznie tylko wtedy, kiedy nic się nie robi. Czasami jeszcze dodawał: „najlepiej nałożyć na siebie rękawice, kozuch, ciepłą czapkę... położyć się przy robocie i poleżeć”.

Chyba w tym samym dniu jeden z sąsiadów przywiózł przygotowany opał na „nasze podwórko”. Być może w tamtym momencie po raz pierwszy użyliśmy tych słów, być może bez żadnego przekonania, że podwórko faktycznie jest nasze. Nie wiem, kiedy rodzice ostatecznie uwierzyli, że dom, podwórko i pola są nasze. Może po zapłaceniu ostatniej raty należności, chociaż na ten moment musieliśmy czekać jeszcze kilka lat. Może w tym dniu, kiedy do stodoły wjechał pierwszy wóz ze zbożem, z „naszego” pola, które kilka miesięcy wcześniej ojciec obsiał własnoręcznie? Być może rodzice takiego momentu nawet nie zauważyli, tak samo jak ja.

Przyjechaliśmy do Polski w tym czasie, kiedy młodszy bracia byli w wieku szkolnym. Wkrótce całą trójką rozpoczęli naukę w polskiej szkole, w Szczytnie. Nie mieli większych trudności z żadnym przedmiotem, prócz języka polskiego. To nie były zaległości, a po prostu brak wiedzy i trudno się temu dziwić. Przecież żaden brat w okresie poprzednim nie był na lekcji „polskiego” ani jednej godziny. Tego chyba nie mógł zrozumieć nauczyciel, który na błędną wypowiedź powiedział do brata przy całej klasie „...Ty *ruskaja bałda*, ...ciebie nie da się nauczyć”.

Nie wiem, jakie kwalifikacje miał tamten „pedagog”, jak bardzo wysoko oceniał poziom swej wiedzy i umiejętności, ale brat sobie z nauką poradził nie najgorzej, chociaż nie był prymusem. Z całą trójką młodszych braci nie było najmniejszego problemu. Chodzili do szkoły, nawiązali znajomości, chyba czuli się całkiem dobrze. Ponownie powstał problem ze mną. Miałem ukończoną szkołę rosyjską o poziomie średnim. W Polsce radzieckie świadectwa maturalne były traktowane na równi z polskimi. Nie musiałem więc chodzić do szkoły nie tylko z powodu wieku, ale powstała konieczność znalezienia pracy. Kilka hektarów ziemi piątej i szóstej klasy, które nazywało się gospodarstwem nie mogło być uznane za warsztat pracy. Gospodarzyć miał ojciec, a nasze obowiązki sprowadzały się do pomagania głównie podczas cięższych prac sezonowych. Ojciec nadal uważał siebie za wystarczająco silnego i sprawnego fizycznie.

Tylko czasami wyrażał obawy, że kolektywizacja może dotrzeć również do Polski, chociaż tak bardzo w to nie wierzył tym bardziej, że sąsiedzi na takie słowa reagowali gniewnie i twierdzili, że nikt nie zmusi polskich chłopów do żadnej wspólnoty. Ojciec widocznie z tymi poglądami w pełni się zgadzał, bo w przeciwnym wypadku nie zdecydowałby się na ponowne kupowanie ziemi. Nie zapomniał krzywdy wyrządzonej przez system radzieckich kołchozów. Ziemię, którą nabył na Kresach musiał „na własną prośbę” oddać do kołchozu i podczas wyjazdu do Polski nie otrzymał za nią nawet przysłowiowej „kopiejki”. Tamtej straty nie zrekomensowały żadne rządy.

W tym czasie rodzice nawiązywali przeważnie przypadkowe kontakty z coraz innymi osobami z „naszych stron”. Wszyscy znaleźli się tu w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny, w ramach pierwszej repatriacji. Zdecydowana większość rozmówców przekonywała, że na nowych terenach czują się dobrze, chociaż została tęsknota za utraconymi stronami rodzinnymi i pamięć o nich jest ciągle żywa. Potem uzupełniali wypowiedzi stwierdzeniami, że żyje się dla dzieci i najważniejsze jest żeby oni byli szczęśliwi.

Dość szybko zauważyłem, iż w Polsce faktycznie istnieją bez porównania większe możliwości kierowania swoim losem, niż w Kraju Rad. Już po pierwszych tygodniach pobytu miałem dowód osobisty. Mogłem swobodnie poruszać się po całym kraju. Jedynie problem mieszkaniowy stwarzał ograniczenia pod tym względem. Ale na podstawie relacji osób, które znalazły się w Polsce zaraz po wojnie wynikało, że nie zachodzi konieczność poszukiwania pracy w innym regionie, bo wystarcza jej na miejscu. Dowodem tego są dzieci uchodźców z okresu pierwszej repatriacji, które szybko dostosowały się do nowych warunków. *Zależnie od*

wieku wszyscy uczyli się lub pracowali i byli szczęśliwi. Byliśmy przekonywani, że w szybkim terminie zapomnimy o biedzie, w której mieszkaliśmy w „swoich stronach”. Następne pokolenia może nawet nie zechcą słuchać wspomnień swoich dziadków o minionych czasach i ojczyźnie za Bugiem.

Za pośrednictwem tych samych, albo innych słów, powtarzano podobne myśli. Pokolenie rodziców na każdym kroku chciało mieć potwierdzenie, że postąpili słusznie, kiedy podporządkowując się wyrokowi losu opuścili strony rodzinne, chociaż było to niezmiernie przykre, nie zgodne z uczuciami tkwiącymi ciągle w głębi duszy. Dla swego usprawiedliwienia tworzyli teorię, że dla osób starszych, których życie zbliża się ku końcowi, nie istnieją żadne perspektywy również w Polsce, ale sam fakt większej wolności ma też ogromne znaczenie. Przecież w Polsce nawet kościołów nikt nie zamyka, nikt nie prześladowuje za okazywanie uczuć religijnych, za to że uczestniczy się w nabożeństwach i szuka duchowego wsparcia, które daje wiara. Tam, skąd przyjechaliśmy wszystko to zostało wykreślone nawet ze sfery marzeń. Słyszałem kolejny raz, że tutaj jesteśmy wśród swoich, że dzieci chodzą do polskiej szkoły, są wśród Polaków.

Takie spotkania i rozmowy również przyczyniały się do tego, że u rodziców z miesiąca na miesiąc rozrastało się przekonanie, iż postąpili słusznie decydując się na wyjazd. Może to nie był entuzjazm, ale nie mieli już żadnej wątpliwości, że nie pomylili się, kiedy postanowili opuścić kraj swoich ojców i dziadów. Ojciec powracał do tego tematu wielokrotnie. Sam sobie zadawał pytanie, sam na nie odpowiadał, wyszukując i wypowiadając głośno nowe, albo te same argumenty w zmienionej formie, przekonując kogoś syna do dobrze znanej argumentacji. Nad tym problemem zbytnio nie zastanawiałem się. Z poglądami ojca w pełni zgadzałem się, chociaż nie potwierdzałem tego głośno. Widocznie chciałem usłyszeć tych argumentów więcej.

Mijały kolejne tygodnie od naszego przyjazdu. Rodzice mieli swoje gospodarstwo, chociaż ziemia była jeszcze zamrznięta. Młodszy bracia chodzili do szkoły, a ja nadal zostawałem bez żadnego „przydziału”. Widocznie ciążyło fatum uchylania się od pracy, które zrodziło się w Związku Radzieckim. Co prawda, w sposób energiczny nie szukałem pracy, bo nawet nie wiedziałem, do czego się nadaję. Przecież nie miałem wyuczonego żadnego zawodu, a słaba znajomość języka polskiego stwarzała dodatkowe ograniczenia. Ponadto była jeszcze zima, a o pracę łatwiej wiosną.

W tym zakresie starania ojca były chyba większe, bo wspominał o moim problemie często podczas różnych rozmów. W tym czasie nawiązaliśmy też kontakt z rodziną państwa Pruszkowskich, którzy wyjechali do Polski parę miesięcy przed nami i zamieszkali bardzo blisko, bo w Olsztynie. Do wzajemnych odwiedzin dochodziło dość często. Podczas jednej takiej rozmowy z ich krewnym - pracował na PKP jako maszynista - ojciec ponownie poruszył temat znalezienia pracy dla mnie. Ku swemu zaskoczeniu usłyszałem, że nie będzie żadnych problemów z zatrudnieniem się na kolej, bo jest to ogromna firma i zawsze potrzebuje nowych pracowników jak nie w jednym dziale, to w innym. Zrodziła się nadzieja pracy i to nie byle gdzie, a na kolei. Rodzice dobrze pamiętali, że przed wojną pracownicy w kolejarskich mundurach cieszyli się wielkim szacunkiem i dobrze zarabiali. Wierzyli, że mniej więcej tak samo jest w czasach obecnych.

W następnym dniu pojechałem do Olsztyna, spotkałem się z już znaną mi osobą, którą teraz ujrzałem w mundurze. Być może mundur dodawał większej powagi i pewności. Ten pan wiedział do którego budynku należy pójść, z kim rozmawiać. Podczas pierwszego i jednocześnie jedynego spotkania z kierownikiem jednostki nadrzędnej nad pobliskimi

stacjami, wśród których było i Szczytno, zostałem przyjęty na dziewięciomiesięczne szkolenie z poborami w wysokości około tysiąca złotych.

Było to pod koniec marca, a więc po trzech miesiącach od przyjazdu do Polski. Rozpocząłem prace w ogromnej, państwowej firmie, bez żadnej obawy, że trafię do kołchozu, albo na jakąś budowę na dalekiej północy lub w głębi Syberii. Już wkrótce wiedziałem, że dokonałem dobrego wyboru. Powtarzał to za każdym razem inny pracownik PKP. Słyszałem, że kolej jest i będzie zawsze i chociaż praca nie jest łatwa, bo nie ustaje w niedziele i święta, a dla pracowników zatrudnionych na zmiany nie ma różnicy między dniem i nocą, ale mimo to, do takiego stylu życia można przyzwyczaić się i nie mieć powodów do narzekań.

Być może nie potrafiłem jeszcze docenić wszystkich pozytywów zatrudnienia się w tej firmie, ale widząc spokój rodziców, a szczególnie nie ukrywaną radość mamy, zaczynałem wierzyć, że być może jest to jedno z najlepszych rozwiązań. Ważny był też fakt, że po odbyciu służby wojskowej zostanę przyjęty na to same stanowisko, na dotychczasowych warunkach. I wreszcie to, co najważniejsze - zacząłem przynosić do domu zarobione pieniądze. Był to poważny zastrzyk dla naszej rodziny. O tak wysokich poborach w Związku Radzieckim nie mogłem marzyć, nawet gdybym nadal pracował w stolarni. Wypada jednak mówić, że pieniądze „otrzymywałem” a nie zarabiałem, bo tak naprawdę nic nie robiłem, za nic nie odpowiadałem. Była to tak zwana „praktyka - staż” - poznawanie pracy poprzez obserwację i ewentualnie wykonywanie niektórych czynności za właściwego pracownika, ale tylko wtedy, kiedy uznał, że może na to pozwolić. Razem ze mną poznawała tajniki pracy na PKP, już nie w teorii a na praktyce, kilkusobowa grupa uczniów ostatniej klasy technikum kolejowego z Olsztyna.

Zapoznawałem się kolejno z zakresem obowiązków na poszczególnych stanowiskach, na stacji w Szczytnie. Przepisów musiałem uczyć się we własnym zakresie. Po zakończeniu szkolenia czekał na mnie egzamin, a od jego wyniku zależało, czy PKP podpisze umowę na zatrudnienie stałe. Takie warunki były jeszcze jednym czynnikiem zmuszającym do podnoszenia poziomu władania językiem polskim, zarówno w formie ustnej, jak i pisemnej. Poważnie przyczyniało się do tego ciągłe przebywanie w zakładzie pracy, wśród osób rozmawiających wyłącznie po polsku.

Najpierw znalazłem się w kasie biletowej, gdzie obserwowałem pracę kasjerów sprzedających bilety, a w ramach ćwiczeń uczyłem się wyliczać należności czasami na dość skomplikowanych trasach, ze zmianą pociągów z osobowego na pociąg ekspresowy i odwrotnie, z różnego rodzaju ulgami. Kiedy nie było kolejki przed okienkiem, niektórzy kasjerzy informowali dodatkowo o swojej pracy, ale najczęściej zasypywali pytaniami o tym, jak się żyło w radzieckim państwie, jak się podoba Polska i czy przyzwyczaiłem się do warunków tu obowiązujących, czy nie tęsknię za opuszczonym krajem. Często pytali się gdzie się nauczyłem mówić i pisać po polsku. Chcieli koniecznie wiedzieć, czy na tamtych terenach były szkoły polskie, w jakim języku rozmawialiśmy w domu: po polsku, czy po rosyjsku.

Pytania te powtarzały się w każdym nowym dziale, po pierwszych minutach rozmowy z kolejnymi pracownikami. Chociaż już nie używałem rosyjskich słów, potrafili poznać, że przyjechałem ze Wschodu po pierwszych moich słowach, po krótkiej informacji, że zgłaszam się na szkolenie.

Bardzo rzadko, ale miały miejsce i takie sytuacje, kiedy ktoś pytał się jak i dlaczego nasza rodzina *znalazła* się na terenie Rosji. Tego typu pytania wydawały się bardzo dziwne, bo wcześniej zdążyłem powiedzieć skąd przyjechaliśmy. Stołpiec mógł ktoś nie znać, ale o Nowogródku powinien był słyszeć chyba każdy. Jeszcze dziwniejsze było to, że niektórym

osobom musiałem przypominać, iż granice Polski przed wojną przebiegały inaczej. Większość rozmówców знаła jednak historię i geografę na takim poziomie, że po chwili słyszałem jakiś osobiste przeżycia tych osób, związane ze zmianami granic państwowych, po zakończeniu wojny. Niektórzy zastanawiali się czy dla Polski i Polaków wyszło to na lepsze, czy na gorsze. Dość często jako podsumowanie takiej rozmowy słyszałem stwierdzenie, że na wszystkie te wielkie wydarzenia nie mamy żadnego wpływu i musimy podporządkować się warunkom wyznaczanym przez los.

Chyba jednak u nikogo, kto mieszkał poprzednio po tej stronie Bugu, nie zauważyłem żadnego poczucia tęsknoty z powodu zmiany granic i utraty przez Polskę terenów zwanych Kresami Wschodnimi. Odnosiłem wrażenie, że byli bardziej zadowoleni z przyłączonych do Polski Ziemi Zachodnich, a szczególnie Północnych.

Zgodnie z programem szkolenia znalazłem się też na praktyce wśród tak zwanych drużyn manewrowych, to jest w tej grupie pracowników, których pracę poznałem siedząc w wagonie podążającym z Brześcia, do Szczytna. Już dobrze wiedziałem, że ostrzegawcza nalepka na wagonie miała istotny wpływ na sposób przetaczania. Jeśli nie było nalepek, to wagon był traktowany jak pusty, albo załadowany towarem, który nie ulega uszkodzeniu podczas gwałtownego zderzenia. Wagon z nalepkami rzucał się w oczy z daleka i przestawiano go z toru na tor ostrożnie, chociaż czasami *zdarzało* się, że również był uderzony mocno. Ale były to tylko nieliczne przypadki.

Moje zainteresowanie pracą wzrastało w miarę jak przechodziłem od jednej grupy do drugiej. Po powrocie do domu opowiadałem o znaczeniu, roli i szczegółach funkcjonowania poszczególnych działów, o obowiązkach pracowników i chyba nawet nie zauważałem jak z dnia na dzień nie tylko lepiej wypowiadałem swoje myśli w języku polskim, ale też coraz bardziej oswajam się z nowym otoczeniem, chociaż nie potrafię nazwać miasta i okolic swoją ojczyzną.

Na praktyce, czyli tak zwanym stażu, byłem dziewięć miesięcy. Przebywałem przy coraz innych grupach pracowników, wykonujących inne czynności, z innym zakresem obowiązków i odpowiedzialności. Z zainteresowaniem poznawałem funkcjonowanie ogromnej instytucji o pracy której jeszcze kilka miesięcy temu nie miałem żadnego pojęcia. Tylko ojciec nie mógł się nadziwić, za co dostawałem pieniądze, bo przecież nic nie robiłem. Wielokrotnie powtarzał, że coś takiego jest możliwe tylko w Polsce, bo w żadnym innym kraju nikt nie płaci za samo przychodzenie do „pracy”. Próbowałem wyjaśniać, że jest to szkolenie, a po zdaniu egzaminu, rozpocznę pracę w którymś dziale. Ojciec komentował, że w takim przypadku to ja powinienem płacić za naukę, a nie odwrotnie. Nasze rozmowy nie wywołały żadnej rewolucji, zostało wszystko tak, jak ustaliły władze PKP.

Absolwenci technikum kolejowego, z którymi przebywałem razem, interesowali się swoimi podręcznikami, przepisami i pracą tylko od czasu do czasu. Najczęściej czekali na moment, kiedy zawiadowca stacji zakończy obchód poszczególnych stanowisk, a więc w danym dniu po raz drugi nie przyjdzie, i przystępowali do rozwiązywania krzyżówek. Będąc uczestnikiem tej rozrywki uzyskiwałem znacznie większe korzyści niż oni, bo za każdym razem poznawałem nowe wyrazy, uczułem się zasad pisowni, wzbogacałem swoje ubogie słownictwo.

Przebywając w towarzystwie zarówno starszych pracowników jak i młodych chłopców, tak samo przed wojskiem jak ja, zauważyłem że zarówno jedni jak i drudzy uważają te tereny za swoją ojczyznę, nie biorą pod uwagę możliwości zmiany granic, nie wyobrażają że może powstać sytuacja zmuszająca do opuszczania tych ziem.

Zarówno jedni jak i drudzy nie zdawali sobie sprawy, że tysiące rodzin polskich na terenach byłych Kresów Wschodnich, czekało na zmianę granic i jeszcze tak nie dawno wierzyło, że Polska tam wróci wkrótce. Wiara niektórych osób była tak wielka, że nawet podczas drugiej repatriacji nie zdecydowali się na wyjazd, a zostali na ziemi ojców, być może nadal czekając na zmiany. Dla Polaków, którzy od pokoleń mieszkali na tamtych terenach, przywrócenie granic z okresu przed wybuchem drugiej wojny światowej wydawało się tak oczywiste, jak oczywistym było marzenie, iż nadejdą takie czasy, kiedy będą mogli kupić chleb bez konieczności ustawiania się do kolejki w środku nocy, na wiele godzin przed dostawą tego, tak poszukiwanego artykułu.

Polska, do której przyjechałem, była całkiem innym krajem. Rozmawiałem z chłopcami w swoim wieku, ale czasami odnosiłem wrażenie, że należymy do innych światów. Oni dziwili się i nie mogli uwierzyć, iż mogą być problemy z kupieniem chleba. Mieli odwagę narzekać, że w sklepie czasami brakuje kielbasy!

Nie mogli zrozumieć, że tam, gdzie mieszkalem, większość domów zarówno na wsi jak i w mieście, mniej więcej takim jak Szczytno, było wykonane z drewna. Dziwili się, kiedy opowiadałem, że podstawowym materiałem budowlanym były wysokie sosny, a wyciosane z nich bale tworzyły ściany. Chyba celowo udawali zdziwienie, kiedy chcieli żebym szczegółowo wyjaśnił, w jaki sposób obronić się w takim mieszkaniu przed śniegiem wciskającym się do wnętrza wraz z wiatrem przez szpary.

Być może uważali, że kraj w którym buduje się z cegły osiągnął wyższy poziom cywilizacyjny i być może byli dumni z tego powodu. Mogli tak uważać, mogli nawet się cieszyć, ale nie czułem kompleksu niższości, że wyrosłem wśród ludności, która nie budowała swych mieszkań z cegły. Na pewno byłem dumny, kiedy tłumaczyłem, że między kłocami ułożonymi przez fachowca nie ma żadnych szpar, a drewno jako naturalny wytwór przyrody stwarza bardziej miłe warunki w mieszkaniu, niż sztuczna, zimna cegła.

Nie w poszukiwaniu drewnianych domów, ani krętych brzegów Niemna siadałem w wolnych chwilach na radziecki rower z błyszczącymi w słońcu niklowanymi felgami i błotnikami, a następnie jakąś nie znaną drogą jechałem obejrzeć kolejne tereny wokół nowego miejsca zamieszkania. Dość szybko spostrzegłem, że Polska jest zdecydowanie innym krajem, ale jedynie w zakresie obowiązujących reguł i warunków życia mieszkańców. Przyroda była podobna. Zamieszkaliśmy na obszarze gdzie prócz pól, usianych tak samo kamieniami, rozciągały się gęste, sosnowe lasy jak nad dalekim Niemnem. Mnogość i różnorodność jezior, których tam nie było wcale, zachęcało do kolejnych wypraw, pobudzało wyobraźnię. Jeziora stanowiły największą atrakcję terenu, zajmowały tak wielkie obszary, że bezpośrednio w terenie mogłem poznać tylko nieliczne. O istnieniu pozostałych wiedziałem jedynie na podstawie mapy.

O tym, że zamieszkaliśmy w pięknym rejonie rozmawialiśmy w domu nie jeden raz. Nie mieliśmy wątpliwości, że kraina ta nazywa się Warmia i Mazury, ale jeszcze nie wiedzieliśmy dokładnie gdzie zaczyna się Warmia, a gdzie się kończą Mazury, chociaż już byliśmy pewni, że w żadnym innym rejonie Polski nie czuliśmy się tak dobrze jak tu.

Pomimo przyjaznej atmosfery ze strony rówieśników, czasami w ich gronie czułem się jeśli nie jak ktoś obcy, to mimo wszystko inny. Wyrośli w warunkach braku jakichkolwiek kontaktów z wschodnimi sąsiadami, zwielokrotniane i przeinaczane podczas przekazywanymi z ust do ust najróżniejszymi żartami. Wszystko powodowało taki brak wiedzy o sąsiadach rozmawiających innym językiem, że niektórym osobom wydawało się, iż za wschodnią

granicą nawet niemowlaki wierzą w komunizm, a ludzie oddychają w rytmie wyznaczonym przez Partię.

W pewnym momencie jeden z rozmówców chciał się dowiedzieć, czy zezwala się tam dziewczynom na wkładanie kolorowych bluzek. Być może mocno się myliłem i tylko wmówiłem coś sobie, ale czasami odnosiłem wrażenie, że ktoś na mnie patrzy i zastanawia się, czy za chwilę nie zacznę modlić się do Stalina.

W naszej małej wiosce było też kilku chłopców w moim wieku. Nie czułem się więc tak bardzo osamotniony jak w pierwszych tygodniach po przyjeździe, chociaż do męskiego towarzystwa zbytnio nie tęskniłem. Myśli zaprzętały dziewczęce... kobiece kształty, ale tak się składało, że te z którymi spotykałem się w różnych okolicznościach, dość daleko odbiegały od ideału istniejącego już w moim umyśle. Kilka miesięcy spędzonych z Emmą zostawiło głęboki ślad, chociaż nawet w chwili rozstania nie zdawałem sobie z tego sprawy. Uroda i sposób bycia tamtej dziewczyny stały się wzorcem, który śnił się po nocach. Przecież będąc z nią czułem się z jednej strony wolnym, ale jednocześnie to ona powodowała, iż starałem się podobać właśnie jej, a nie żadnej innej. Odruch rodził się gdzieś w podświadomości, bez żadnego zamiaru, ale *przeradzał* się w tak wielką przyjemność, że nawet przez moment nie powstała myśl by go zwalczać. W jej towarzystwie nigdy nie poczułem się zmęczony albo znudzony, nie powstał między nami najmniejszy konflikt, chociaż często mieliśmy różne poglądy.

Nie żyłem w świecie iluzji i wiedziałem, że do tamtej dziewczyny powrotu nie ma, że inna też może być tak samo wspaniała, ale nie stwarzałem sam sobie zbyt wielkich szans by zmienić coś w tym zakresie. Zbyt mocno ciążył kompleks akcentu świadczącego o „wschodnim” pochodzeniu. Zbyt często podczas rozmów miałem uczucie, że jestem „okazem” z dziwnego kraju.

Tylko jeden raz ujrzałem dziewczynę tak bardzo podobną do Emmy, że przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie ona. Niestety, ale było to tylko zdjęcie za szklaną szybą witryny, w kinie dworcowym, w Olsztynie. Ponownie odżyły wspomnienia o tej, która spodobała się od chwili, kiedy po raz pierwszy znalazła się w zasięgu wzroku, z którą rozumiałem się bez słów, przy której mogłem mówić swobodnie o sprawach poważnych i błahych, obok której mogłem być blisko, choć pograżony we własnych myślach.

Jej zgrabna figura ponownie stanęła przed oczami i spowodowała, że dość długo piękna innych dziewczyn nie potrafiłem zauważyć. Po jakimś czasie zdjęcie na wystawie zostało zamienione. Nie było już po co wchodzić do holu kina, chociaż przyglądanie się na zdjęcie nie mogło być nawet namiastką tamtych dawnych spotkań. Nadal ciążyła samotność. Wiedziałem, że nie mogę budować bliskich uczuć z żadną osobą w oparciu o wizerunek kogoś innego. Nie mniej podświadomie rozglądałem się za dziewczyną wysoka, z dumnym spojrzeniem, długimi włosami.

Całkiem niespodziewanie taką ujrzałem i to w swoim Szczytnie. Byłem zaskoczony, zdziwiony i szczęśliwy. Bez żadnej zwłoki nawiązałem kontakt i w ciągu kilku minut umówiłem się na pierwszą randkę. Zgodziła się, żebym odprowadził ją do domu, kiedy zakończy pracę. Nie mogłem doczekać się wyznaczonej godziny. Przed oczyma ciągle stała jej wysoka, smukła, ale jakże kobieca sylwetka, piękne oczy i gruby warkocz. Byłem oczarowany i szczęśliwy. To nie było żadne zdjęcie, to nie były wspomnienia. Dziewczyna istniała naprawdę. Uśmiechała się i bez żadnego sprzeciwu powiedziała, żebym czekał.

Radość spotkania trwała wyjątkowo krótko. Już na samym początku usłyszałem, że jest mężatką, że spóźniłem się o dwa miesiące... Jak mogłem ujrzyć ją wcześniej?! W tym czasie znajdowałem się na drugim końcu Polski, w wojsku. Nasz wspólny spacer trwał najwyżej kilkadziesiąt minut. Usłyszałem, że jest to nasze spotkanie pierwsze i *zarazem* ostatnie. Zdawałem sobie sprawę, że okropnej rzeczywistości nie da się odmienić. Widocznie przed czasem zbyt dokładnie wyobraziłem sobie jak przyprowadzę ją do domu i powiem rodzicom, że znalazłem ją, z którą zostaną na zawsze.

Miałem też praktykę wśród drużyn konduktorskich, prowadzących pociągi towarowe i pasażerskie. Zdarzało się, że nasza trasa przekraczała starą granicę Polski z przedwojennymi Prusami Wschodnimi. Może nie za każdym razem, ale kilkakrotnie i ponownie jakiś inny konduktor pokazywał mi miejsce, gdzie kończyły się Prusy, a zaczynała się Polska. W tym czasie nie istniały najmniejsze ślady granicy z tamtych lat. Trudno było uświadomić sobie, że przez monotonicznie ciągnące się pola lub lasy mogła przebiegać granica między dwoma państwami. Podział wydawał się sztuczny i dziwny. Byłem pod wrażeniem tak niedawno przekroczonej granicy między Związkiem Radzieckim a Polską, w Brześciu. Tam wszystko wyglądało jednoznacznie, chociaż szczegóły ginęły pod śniegiem. Nie było wątpliwości, że po tamtej stronie rzeki znajduje się jedno państwo, a po tej drugiej - jakże odmienne. Tutaj nie dało się zauważyć żadnego, rzucającego się w oczy naturalnego rozgraniczenia, tutaj ciągle był ten sam kraj, cały czas - Polska.

Nasz pociąg toczył się po terenie Polski, zmieniał się tylko region, bo jechaliśmy z terenu naszych Mazur na Kurpiowszczyznę, albo odwrotnie, ale o tym ktoś musiał powiedzieć. Takie wypowiedzi padały z ust konduktorów, a ponieważ byłem członkiem zespołu, więc identyfikowałem się z nimi, bez sprzeciwu przyjmowałem myśli, że z terenu sąsiadów wracani do domu. Konduktorzy tamtych pociągów w znacznym stopniu przyczynili się do utrwalenia w mojej świadomości przekonania, iż Mazury stają się moją drugą ojczyzną i że tak już zostanie na zawsze.

Krótkie rozmowy na ten temat miały miejsce w przedziale służbowym, do którego wracaliśmy po zakończeniu kontroli biletów. Potem konduktor wtulał się w oparcie i oświadczał, że teraz chwilę podrzemie, bo jeśli się pracuje na zmiany przez całą dobę, to powinno się wykorzystywać każdą wolną chwilę na sen. Usadawiałem się podobnie w drugim kącie przedziału, zamykałem oczy i myślami zaczynałem krążyć wokół takich pojęć jak „ojczyzna”, „dom rodzinny” i tego wszystkiego, co dla każdego jest najbliższe. Wsłuchiwałem się w monotoniczny, usypiający stukot kół na stykach szyn, myślami wędrowałem do opuszczonej wsi rodzinnej, tamtych lasów i łąk nad Niemnem, ale już nie marzyłem o powrocie. Została tam tylko mała wieś przekształcona w kołchoz z kilkoma albo kilkunastoma starszymi kołchoźnikami i jeszcze mniejszą grupką wiejskich kolegów, z którymi omówiono zostało już wszystko, pozostał tylko nie wypity alkohol.

Wspominając tamten kraj, tylko czasami przypominałem twarze dawnych wiejskich kolegów i rówieśników, z którymi chodziłem do szkoły, ale w każdej chwili mogłem wyobrazić porośniętą krzakami wierzbową dolinę nad Niemnem, ograniczoną pasmem *wzgórz*, po drugiej stronie. Bez trudu odtwarzałem widok miasta za rozległą równiną, panoramą lasów, które otaczały wieś. Przychodziło to bardzo łatwo. Umiałem wyobrazić wszystko z dowolnego punktu, w którym kiedyś się znajdowałem. Jeśli myślałem żeby odwiedzić „swoje strony”, to wyobraźnia kierowała się tylko do tamtego skrawka ziemi.

Chyba dopiero teraz, na etapie spisywania wspomnień zrozumiałem, na czym polega tajemnica tak trwałego zapamiętania krajobrazów z lat młodości. Wpłynął na to na pewno niepowtarzalny urok rodzinnego zakątka Kresów, ale jednak tak małego, że dało się go obejść

w ciągu jednego dnia, albo wyobrazić z lotu ptaka. Ciągłe te same widoki utrwały się w pamięci bez żadnego wysiłku, bo były oglądane ponownie i ponownie podczas niekończących się pieszych wędrówek, a więc z poziomu i w tempie zapewniającym najdokładniejsze poznanie. Na tamtych piaszczystych i trawiastych ścieżkach wzrok wylapywał najdrobniejsze szczegóły, zostawiał w umyśle nie ulotny ślad, a głęboką i trwałą bruźdę.

Z tego powodu znacznie łatwiej mogłem odtworzyć w pamięci fragmenty okolic rodzinnej wsi, niż rozległych terenów wokół Szczytna. Zbyt dużo znajdowałem tu takich miejsc, które pragnąłem ujrzeć. Wybierałem wciąż nowe punkty i trasy, głównie przy pomocy mapy, i skuteczniałem wojaże na swoim rowerze

Oglądałem obszary znacznie większe od tamtych nad Niemnem, ale widziałem je znacznie krócej, czasami nie więcej niż raz, bo przecież ciągle zostawały miejsca do których nie zdążyłem dotrzeć. Wzrok ściągały ogromne błękitne plamy zespołu Wielkich Jezior Mazurskich i inne, rozrzucone wśród pól i zielonych lasów. Ta kraina zapewniała niekończące się trasy na wyprawy rowerowe, kajakowe i pod żaglami. Ta kraina mogła nie tylko podobać się, ta kraina potrafiła zawładnąć i zatrzymać na stałe. Chociaż mieszkam tu sporo lat, to do dnia dzisiejszego nie zdążyłem zrealizować wielu marzeń.

Naśladowując konduktora, usadawiałem się wygodnie w rogu przedziału i tak jak on zamykałem oczy. Jednostajne dudnienie kół na stykach szyn oraz lekkie kołysanie się wagonu działały uspokajająco i usypiająco. W momencie, kiedy świadomość jeszcze nie zdążyła daleko odpłynąć, ale myśli zaczynały już krążyć i plątać się chaotycznie, kolejarz z wieloletnim stażem nieoczekiwanie przywracał do rzeczywistości, bo energicznie poruszał się i głośno oświadczał, że już się wyspał. Po chwili wiedziałem, za ile minut będzie kolejny przystanek. Potem konduktor wstawał i szliśmy razem w stronę drzwi wyjściowych. Na moje pytanie, jak mógł określić tak dokładnie czas podczas snu, z uśmiechem odpowiadał, że to efekt wieloletniego treningu. Czasami któryś konduktor przypominał ile będzie jeszcze przystanków i o której godzinie zajedziemy do domu.

W tym samym czasie, kiedy poznawałem zasady funkcjonowania kolei, ojciec załatwiał sprawy związane z przejściem gospodarstwa na własność. Władze gminne dokonały wyceny, ustaliły wysokość i terminy spłaty należności, a rodzice nadal kontaktowali się z co najmniej kilkoma rodzinami, które mieszkały przed wojną w Stołpcach lub gdzieś w pobliżu, ale po zakończeniu wojny znaleźli się na ziemi szczycieńskiej, w ramach pierwszej repatriacji w 1945 roku. Nasza mama również spotkała kilka koleżanek. Z jedną, panią Lipską, która mieszkała na Bartnej Stronie, tj. ulicy prowadzącej ze Szczytna do naszego Szczycionka spotykała się najczęściej, zachodziła do niej chyba za każdym razem w drodze do miasta lub wracając do domu.

Relacje z takich spotkań, z rozmów dawnych kolegów i koleżanek były zawsze podobne. Na początku, kiedy padały słowa, że któryś rodzic spotkał się z kimś znajomym z „naszych stron”, to zauważało się nieukrywaną radość z tego, że w pobliżu mieszka ktoś, z kim można być szczerym do końca, kto czuje i myśli jeśli nie tak samo, to bardzo podobnie. Potem musiała się pojawić nutka goryczy, że musieliśmy stamtąd wyjechać, ale na zakończenie najczęściej padała podsumowanie mniej więcej takie: „Powspominaliśmy trochę tamte czasy, swoją młodość i nasze Stołpce, ale musimy przyzwyczajać się do nowego. Tu teraz mieszkamy i tu zostaniemy. W tamte strony już nie wrócimy.”

Spotkania z osobami „z naszych stron” były dla rodziców miłe, ale z mieszkańcami wsi żyliśmy w wielkiej zgodzie. Z ich strony cały czas występowały chęci udzielenia nam jakiejś pomocy, wsparcia. Rodzice niejednokrotnie wspominali o życzliwych i uczynnych sąsiadach

mieszkających w tamtej małej wiosce, a jakże często wymieniali takie nazwiska jak: Lompert, Iwanowicz, Łępicki, Depta, Linkiewicz, Orzołek. Oni też w różnych terminach przyjechali do wsi, po zakończeniu wojny, w poszukiwaniu czegoś lepszego, zostawiając swoje poprzednie miejsce zamieszkania. Powodem przyjazdu na nowe tereny w każdym przypadku było coś innego, ale po każdym kolejnym okresie siewu i zbierania plonów wszyscy zrastali się mocniej z ziemią, którą uprawiali. Mieli nad nami przewagę w postaci większej ilości miesięcy i lat zamieszkiwania w tej małej wiosce, nad cichym jeziorkiem. Podczas letniej ciszy tak cudownie odbijały się w nim nie tylko sosny z sąsiedniego lasu, ale i miły dla oka rzędek murowanych domków z czerwonej cegły.

We wsi mieszkały jeszcze trzy rodziny mazurskie, dla których był to kraj naprawdę ojczysty. Z nimi stosunki również układały się tak samo dobrze. Nie wiem, co myśleli, ale bez zewnętrznego sprzeciwu godzili się na zmianę granic w wyniku wojny rozpętanej przez Hitlera. Chyba próbowali dostosować się do nowej rzeczywistości, chociaż wspominali, że mają rodziny w NRF. Od nich dowiedzieliśmy się, że pozostali przedwojenni mieszkańcy wsi wyjechali tuż po wojnie w obawie przed nową rzeczywistością, która niosła Armia Czerwona. Widocznie obawy ich były na tyle poważne, że wkrótce również postanowili wyjechać.

Być może tereny ojczyste, to nie tylko miejsca, gdzie żyjemy, ale to ta ziemia, gdzie są mogiły przodków. Groby naszych przodków zostały daleko nad Niemnem, ale już w następnym roku po przyjeździe, podczas styczniowego mrozu powstała w Szczytnie pierwsza mogiła, do której złożyliśmy trumnę z prochami babci. Śmierć obdarza skrawkiem terenu na zawsze. Mogiła wiąże z ziemią na trwałe. Być może każdy z naszej rodziny odczuł to w chwili tamtego pogrzebu. Upłynęły kolejne lata, lepsze i gorsze, aż w dniu kiedy musieliśmy pochować naszą mamę, ojciec stanął obok świeżej mogiły, podeptał ziemię nogami w miejscu, a potem zapytał się, a być może tylko głośno stwierdził: „...więc tu obok chyba i mnie pochowacie? Tutaj na zawsze zostanę...” Tak się stało. Pozostał w tamtym miejscu na zawsze.

Jednak zanim do tego doszło, zanim mijające lata pozbawiły ojca siły, było jeszcze wiele lat pracy na swojej ziemi, jak w dawnych latach przed nastaniem kolchozów. Może na moment cofnę się do tamtej pamiętnej pierwszej wiosny po repatriacji, kiedy należało rozpocząć prace polowe. Wtedy życzliwość i pomoc sąsiadów chyba najbardziej zaskoczyła najpierw ojca, a później nas wszystkich. Śniegu już nie było. Ziemia odmarzła. Wystarczyło żeby w ciągu kilku dni pogrzało słońce i można było rozpocząć prace w polu. Ojciec twierdził, że będą z tym problemy, bo „ziemia leżała odłogiem i jednym koniem nie będzie łatwo wykonać pierwszą orkę”.

Zdziwiłem się bardzo, kiedy pewnego dnia wróciłem z pracy i zobaczyłem, że część pola która widziało się z podwórka jest zaorana. Z nieukrywaną radością rodzice poinformowali, że zaorane jest całe pole, również ukryte za wzgórzem i skrawkiem naszego lasu. Potem ze szczegółami opowiadali, że wczesnym porankiem zauważyli jak na pole wjeżdżają jeden za drugim sąsiedzi i zaczynają orać. Ojciec w pośpiechu *zaprzągł* do pługa również swojego konia i wyruszył do nich. Nie ukrywał, że był miło zaskoczony taką pomocą. Tamci z uśmiechem odpowiedzieli, że wśród sąsiadów nie może być inaczej i po chwili odpoczynku ponownie kontynuowali orkę. Po polu zarośniętym trawą i chwastami, poruszali się jeden za drugim rolnicy wywodzący się gdzieś z terenów Kurpiowszczyzny, Mazurzy z dziada i pradziada, mieszkające w tej małej wiosce od dziecka oraz ojciec - wygnaniec z Kresów Wschodnich. Wszyscy tak samo wyorywali równe bruzdy, przygotowując glebę pod wiosenne siewy.

Jeszcze nie zdążyło rozpocząć się lato na dobre, jak wymieniliśmy zgniłe deski w podłodze, ale ruskiego pieca nie wybudowaliśmy. Mama nauczyła się gotować na nowej kuchence, a i sposób zagospodarowania poszczególnych pokoi zmieniliśmy na bardziej dogodny. Kupiliśmy też parnik do gotowania ziemniaków dla naszych świnek, wyprowadzając tę uciążliwą czynność na podwórko. Warunki zamieszkiwania wyraźnie zmieniły się na bardziej przyjazne.

Minęła zima i wiosna, rozpoczęło się lato, podczas którego można z łatwością obejść się bez oświetlenia sztucznego. Właśnie o tej porze wzdłuż drogi do wsi i na naszej krótkiej ulicy stanęły drewniane słupy, na których prawie natychmiast zawisły przewody elektryczne. Podczas tych długich dni wypadało *zaczekać* aż słońce skryje się za lasem, a do mieszkania zawita mrok, by pstryknięciem przełącznika oświetlić naszą kuchnię i pokoje. Technika i współczesność dotarła wreszcie i do nas.

Zaangażowanie i radość promieniująca od rodziców podczas pierwszych wiosennych prac w polu, kiedy nadszedł czas składania do gleby ziaren zbóż i nasion warzyw, w większym lub mniejszym stopniu docierały do mnie i braci. Widocznie godziny spędzone na kołchozowym polu nie miały żadnego wpływu na odwieczne nawyki rodziców, a moja psychika nie uległa nadmiernym zmianom, bo w kołchozie pracowałem krótko, razem ze swoją szkołą. Jeśli nastąpiło jakieś wykoślawienie, to widocznie nie było zbyt wielkie i pozbyłem się go bez żadnego wysiłku. Młodszy bracia nie zdążyli pracować w kołchozie, więc nie mieli żadnych naleciałości radzieckiego sposobu na udawaną pracę. Na swoim polu nawet przez myśl nie przeszło, że można coś zmarnować.

Chyba najbardziej uroczyste były pierwsze żniwa. Pracowaliśmy całą rodziną. Razem z ojcem kosiliśmy, a bracia i mama „podbierali” nasze żyto i wiązali w snopki. Czasami któryś sąsiad podchodził do nas. Chwilę stał, rozmawiał, przyglądał się jak pracujemy. Widocznie pragnął zobaczyć czy potrafimy być prawdziwymi rolnikami. Jak bardzo widoczna była wtedy radość rodziców, którzy po kilkuletniej przerwie ponownie pracowali na swoim. W jakich warunkach byśmy mieszkali i na co byliby narażeni, gdyby zostali na Wschodzie? O tym nie rozmawialiśmy, nawet nie próbowaliśmy tego zgadywać.

W pamięci pozostało też któreś kolejne upalne lato, kiedy zachęciliśmy ojca, żeby pojechał do Gdańska ze swoim bratem, który w tym czasie nas odwiedził. Ojciec długo nie chciał zgodzić się na tę wycieczkę. Nie wyobrażał sobie, że może *znaleźć* się poza domem w trakcie żniw. Udało się jednak przekonać argumentami, że będziemy pracowali bardzo starannie i może zaufać nam w pełni.

Na ostatnim łanie żyta, bezpośrednio pod ścianą lasu, gdzie nie docierał żaden powiew wiatru, a słońce grzało jak w Afryce, pracowaliśmy całą czwórką z największą zawziętością. Pot spływał strumieniami. Nie wiem, czy bardziej było męczące koszenie, czy przemierzanie pola z rękoma przy ziemi i nisko pochyloną głową podczas „podbierania” zboża. Byliśmy dumni z siebie, chyba nie mniej niż mama, która czekała na nasz powrót z pola gotując obiad. Ojciec po powrocie z Gdańska wyraźnie się cieszył. Wtedy chyba wyjątkowo mocno poczuliśmy, że nasze jest zarówno zboże jak i pole, na którym urosło, że tu jest nasz dom. Hę lat mieli wtedy dwaj najmłodszy bracia?.. Na pewno już ponad dziesięć...

W międzyczasie skończyła się moja praktyka - staż na PKP i zostałem zatrudniony na stanowisku magazyniera handlowego. Do moich obowiązków należało, mówiąc w skrócie, przyjmowanie od nadawców tj. firm państwowych i Gminnej Spółdzielni - chyba jedynej jednostki spółdzielczej, przesyłek wagonowych i przekazywanie takich samych, zaadresowanych do nich z najróżniejszymi artykułami spożywczymi i przemysłowymi, które

mieszkających w tamtej małej wiosce, a jakże często wymieniali takie nazwiska jak: Lompert, Iwanowicz, Łepicki, Depta, Linkiewicz, Orzołek. Oni też w różnych terminach przyjechali do wsi, po zakończeniu wojny, w poszukiwaniu czegoś lepszego, zostawiając swoje poprzednie miejsce zamieszkania. Powodem przyjazdu na nowe tereny w każdym przypadku było coś innego, ale po każdym kolejnym okresie siewu i zbierania plonów wszyscy zrastali się mocniej z ziemią, którą uprawiali. Mieli nad nami przewagę w postaci większej ilości miesięcy i lat zamieszkiwania w tej małej wiosce, nad cichym jeziorkiem. Podczas letniej ciszy tak cudownie odbijały się w nim nie tylko sosny z sąsiedniego lasu, ale i miły dla oka rzędek murowanych domków z czerwonej cegły.

We wsi mieszkały jeszcze trzy rodziny mazurskie, dla których był to kraj naprawdę ojczysty. Z nimi stosunki również układały się tak samo dobrze. Nie wiem, co myśleli, ale bez zewnętrznego sprzeciwu godzili się na zmianę granic w wyniku wojny rozpętanej przez Hitlera. Chyba próbowali dostosować się do nowej rzeczywistości, chociaż wspominali, że mają rodziny w NRF. Od nich dowiedzieliśmy się, że pozostali przedwojenni mieszkańcy wsi wyjechali tuż po wojnie w obawie przed nową rzeczywistością, która niosła Armia Czerwona. Widocznie obawy ich były na tyle poważne, że wkrótce również postanowili wyjechać.

Być może tereny ojczyste, to nie tylko miejsca, gdzie żyjemy, ale to ta ziemia, gdzie są mogiły przodków. Groby naszych przodków zostały daleko nad Niemnem, ale już w następnym roku po przyjeździe, podczas styczniowego mrozu powstała w Szczytnie pierwsza mogiła, do której złożyliśmy trumnę z prochami babci. Śmierć obdarza skrawkiem terenu na zawsze. Mogiła wiąże z ziemią na trwałe. Być może każdy z naszej rodziny odczuł to w chwili tamtego pogrzebu. Upłynęły kolejne lata, lepsze i gorsze, aż w dniu kiedy musieliśmy pochować naszą mamę, ojciec stanął obok świeżej mogiły, podeptał ziemię nogami w miejscu, a potem zapytał się, a być może tylko głośno stwierdził: „...więc tu obok chyba i mnie pochowacie? Tutaj na zawsze zostanę...” Tak się stało. Pozostał w tamtym miejscu na zawsze.

Jednak zanim do tego doszło, zanim mijające lata pozbawiły ojca siły, było jeszcze wiele lat pracy na swojej ziemi, jak w dawnych latach przed nastaniem kolchozów. Może na moment cofnę się do tamtej pamiętnej pierwszej wiosny po repatriacji, kiedy należało rozpocząć prace polowe. Wtedy życzliwość i pomoc sąsiadów chyba najbardziej zaskoczyła najpierw ojca, a później nas wszystkich. Śniegu już nie było. Ziemia odmarzła. Wystarczyło żeby w ciągu kilku dni pogrzało słońce i można było rozpocząć prace w polu. Ojciec twierdził, że będą z tym problemy, bo „ziemia leżała odłogiem i jednym koniem nie będzie łatwo wykonać pierwszą orkę”.

Zdziwiłem się bardzo, kiedy pewnego dnia wróciłem z pracy i zobaczyłem, że cześć pola która widziało się z podwórka jest zaorana. Z nieukrywaną radością rodzice poinformowali, że zaorane jest całe pole, również ukryte za wzgórzem i skrawkiem naszego lasu. Potem ze szczegółami opowiadali, że wczesnym porankiem zauważyli jak na pole wjeżdżają jeden za drugim sąsiedzi i zaczynają orać. Ojciec w pośpiechu *zaprzągł* do pługa również swojego konia i wyruszył do nich. Nie ukrywał, że był miło zaskoczony taką pomocą. Tamci z uśmiechem odpowiedzieli, że wśród sąsiadów nie może być inaczej i po chwili odpoczynku ponownie kontynuowali orkę. Po polu zarośniętym trawą i chwastami, poruszali się jeden za drugim rolnicy wywodzący się gdzieś z terenów Kurpiowszczyzny, Mazurzy z dziada i pradziada, mieszkające w tej małej wiosce od dziecka oraz ojciec - wygnaniec z Kresów Wschodnich. Wszyscy tak samo wyorywali równe bruzdy, przygotowując glebę pod wiosenne siewy.

Jeszcze nie zdążyło rozpocząć się lato na dobre, jak wymieniliśmy zgniłe deski w podłodze, ale ruskiego pieca nie wybudowaliśmy. Mama nauczyła się gotować na nowej kuchence, a i sposób zagospodarowania poszczególnych pokoi zmieniliśmy na bardziej dogodny. Kupiliśmy też parnik do gotowania ziemniaków dla naszych świnek, wyprowadzając tę uciążliwą czynność na podwórko. Warunki zamieszkiwania wyraźnie zmieniały się na bardziej przyjazne.

Minęła zima i wiosna, rozpoczęło się lato, podczas którego można z łatwością obejść się bez oświetlenia sztucznego. Właśnie o tej porze wzdłuż drogi do wsi i na naszej krótkiej ulicy stanęły drewniane słupy, na których prawie natychmiast zawisły przewody elektryczne. Podczas tych długich dni wypadało zaczekać aż słońce skryje się za lasem, a do mieszkania zawita mrok, by pstryknięciem przełącznika oświetlić naszą kuchnię i pokoje. Technika i współczesność dotarła wreszcie i do nas.

Zaangażowanie i radość promieniująca od rodziców podczas pierwszych wiosennych prac w polu, kiedy nadszedł czas składania do gleby ziaren zbóż i nasion warzyw, w większym lub mniejszym stopniu docierały do mnie i braci. Widocznie godziny spędzone na kolchozowym polu nie miały żadnego wpływu na odwieczne nawyki rodziców, a moja psychika nie uległa nadmiernym zmianom, bo w kolchozie pracowałem krótko, razem ze swoją szkołą. Jeśli nastąpiło jakieś wykoślawienie, to widocznie nie było zbyt wielkie i pozbyłem się go bez żadnego wysiłku. Młodszy bracia nie zdążyli pracować w kolchozie, więc nie mieli żadnych naleciałości radzieckiego sposobu na udawaną pracę. Na swoim polu nawet przez myśl nie przeszło, że można coś zmarnować.

Chyba najbardziej uroczyste były pierwsze żniwa. Pracowaliśmy całą rodziną. Razem z ojcem kosiliśmy, a bracia i mama „podbierali” nasze żyto i wiązali w snopki. Czasami któryś sąsiad podchodził do nas. Chwilę stał, rozmawiał, przyglądał się jak pracujemy. Widocznie pragnął zobaczyć czy potrafimy być prawdziwymi rolnikami. Jak bardzo widoczna była wtedy radość rodziców, którzy po kilkuletniej przerwie ponownie pracowali na swoim. W jakich warunkach byśmy mieszkali i na co byliby narażeni, gdyby zostali na Wschodzie? O tym nie rozmawialiśmy, nawet nie próbowaliśmy tego zgadywać.

W pamięci pozostało też któreś kolejne upalne lato, kiedy zachęciliśmy ojca, żeby pojechał do Gdańska ze swoim bratem, który w tym czasie nas odwiedził. Ojciec długo nie chciał zgodzić się na tę wycieczkę. Nie wyobrażał sobie, że może *znaleźć* się poza domem w trakcie żniw. Udało się jednak przekonać argumentami, że będziemy pracowali bardzo starannie i może zaufać nam w pełni.

Na ostatnim łanie żyta, bezpośrednio pod ścianą lasu, gdzie nie docierał żaden powiew wiatru, a słońce grzało jak w Afryce, pracowaliśmy całą czwórką z największą zawziętością. Pot spływał strumieniami. Nie wiem, czy bardziej było męczące koszenie, czy przemierzanie pola z rękoma przy ziemi i nisko pochyloną głową podczas „podbierania” zboża. Byliśmy dumni z siebie, chyba nie mniej niż mama, która czekała na nasz powrót z pola gotując obiad. Ojciec po powrocie z Gdańska wyraźnie się cieszył. Wtedy chyba wyjątkowo mocno poczuliśmy, że nasze jest zarówno zboże jak i pole, na którym urosło, że tu jest nasz dom. Hę lat mieli wtedy dwaj najmłodszy bracia?.. Na pewno już ponad dziesięć...

W międzyczasie skończyła się moja praktyka - staż na PKP i zostałem zatrudniony na stanowisku magazyniera handlowego. Do moich obowiązków należało, mówiąc w skrócie, przyjmowanie od nadawców tj. firm państwowych i Gminnej Spółdzielni - chyba jedynej jednostki spółdzielczej, przesyłek wagonowych i przekazywanie takich samych, zaadresowanych do nich z najróżniejszymi artykułami spożywczymi i przemysłowymi, które

nadchodziły z całego kraju. W tamtych latach przewóz towarów na większe odległości odbywał się za pośrednictwem PKP, a rola transportu samochodowego ograniczała się głównie do przewożenia ładunku z wagonów do magazynów i odwrotnie.

Starzy magazynierzy informowali już w okresie szkolenia, że obowiązki nie są nadmiernie skomplikowane, ale prawie codziennie pracownicy tego działy świadomie naruszają przepisy, narażając się nie tylko na ewentualne kary dyscyplinarne. Dość często, szczególnie pod koniec dnia, występowało spiętrzenie zadań. W tym samym czasie należało sprawdzić stan ładunku w poszczególnych wagonach, czasami ilość worków lub skrzyń, a jednocześnie wykonać pracę biurową, tj. przygotować dokumenty przewozowe, bez których żaden wagon nie mógł odjechać ze stacji. Przeszty wagonu na stacji był nie do pomyślenia. Groziła za to wysoka kara. Z tego powodu, dość często sporządzenie dokumentów odbywało się kosztem dokładnego sprawdzenia stanu i ilości ładunku w wagonie. W takiej sytuacji należało wierzyć w prawdziwość oświadczenia przedstawiciela nadawcy. Starsi stażem pracownicy pouczali, że znanym i uczciwym osobom można zaufać.

Początkowo takie informacje traktowałem jako dowód na brak operatywności ze strony niektórych pracowników, ale już po pierwszych samodzielnych dyżurach przekonałem się, że nie jeden raz będę zmuszony zaufać osobie, której nie znałem. W przygotowaniu dokumentów przewozowych zastąpić mnie nikt nie mógł, a uczciwemu przedstawicielowi nadawcy mogłem uwierzyć i potwierdzić, że stan jest zgodny z załączoną fakturą, a potem zaplombować wagon.

Takie warunki prowokowały niektórych nadawców i odbiorców do nadużyć, które występowały na każdej stacji w większym lub mniejszym stopniu, a najczęściej miały miejsce podczas przewozu artykułów monopolowych, innych łatwo tłukących się i narażonych na uszkodzenie podczas transportu. Rodziły się też problemy z ilością lub wagą towaru.

Wyjątkowe były przypadki, kiedy na stacji docelowej nie było zbitych butelek wódki lub wina. Rzadziej uszkodzeniu ulegały butelki z olejem, a wyjątkowo z octem. Pamiętam, jak starszy kolega jeszcze na etapie, kiedy byłem „na praktyce” pouczał, że im mniej jest faktycznie potłuczonych butelek, talerzy itp., to tym więcej można skorzystać, bo w protokole o ilości „stłuczek” nie można *zaniżyć* danych w porównaniu do przeciętnej z okresu minionego.

O tym problemie opowiadałem w domu i słyszałem dość stanowcze ostrzeżenie rodziców, a szczególnie ojca, że wcześniej czy później takie okradanie Kolei i Państwa doprowadzi do więzienia. Uzupełniał wypowiedź, że to nie jest kołchoz, gdzie nie było innego wyjścia i czasami należało podejmować ryzyko ratując się przed głodem. Wykonując swoje obowiązki również musiałem sporządzać protokoły o uszkodzeniach i braku towaru, stwierdzonych podczas rozładunku wagonów. Czasami ten dokument powstawał jedynie na podstawie informacji przedstawiciela odbiorcy. Wiedziałem, że dane przeważnie są zawyżone, ale nie przekraczają „średniej”, którą zwierzchnicy również akceptują bez większych podejrzeń. Nie zawsze, ale czasami tak jak koledzy z większym stażem musiałem wierzyć, że przedstawiciel nadawcy albo odbiorcy mówi prawdę.

Kontrolerzy dochodzeniowi dość często przesłuchiwali pracowników naszego działu, próbując uzyskać przyznanie się do niedokładności lub do wykonywania czynności z naruszeniem obowiązujących przepisów, na etapie za lub wyładunku towarów. Oczywiście nikt nie mógł przyznać się do tego, w jaki sposób faktycznie wspomniane czynności są wykonywane. Każdy pracownik twierdził, że osobiście wszystko dokładnie przeważał albo przeliczył i wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującymi przepisami. Oczywiście, takie

sytuacje też miały miejsce. W niektórych okresach, przy mniejszym nasileniu przewozów mogły być nawet regułą. Jeśli przesłuchanie miało miejsce po upływie kilku tygodni, albo miesięcy od momentu, w którym wydarzenie miało miejsce, to magazynier czasami sam nie wiedział jaki przebieg miał załadunek lub rozładunek tego konkretnego wagonu. Podobnie było chyba na całej sieci PKP. Najczęściej sprawca braków pozostawał nie znany, a Kolej płaciła odszkodowania. Ale czasami docierały do nas informacje, że na którejś stacji wykryto zorganizowaną grupę, zajmującą się kradzieżami z wagonów na większą skalę.

Nie byłem z tego wszystkiego zbyt szczęśliwy i chyba z ulgą przyjąłem wezwanie na Komisję poborową. Było to już we wrześniu 1960 roku. Na wezwanie stawiałem się jeśli nie z entuzjazmem, to na pewno bez żadnych oporów, bo nie czekała na mnie służba w Armii Radzieckiej, a w Ludowym Wojsku Polskim. Wiedziałem, że również z drugiego końca kraju do domu nie będzie daleko. Badanie lekarskie wykazały, że mam kategorię zdrowia „A”, że na nic nie skarżę się i nie ubiegam się o żadne odroczenie.

Minęło jeszcze kilka tygodni i otrzymałem wezwanie do zgłoszenia się do jednostki wojskowej, w Oświęcimiu. Miałem służyć w dywizji powietrzno-desantowej. Zmartwiło to rodziców, ale nie podzielałem ich niepokoju, bo nie jeden raz słyszałem jak państwo troszczy się o wszystkich swoich obywateli, że wojsko jest otoczone szczególną opieką i mimo dość forsownych ćwiczeń, nikogo nie spotkała krzywda. Ponadto dość często słyszałem w radiu i czytałem w gazetach, że obóz państw socjalistycznych nikomu nie zagraża, ale jednocześnie jest na tyle silny, że nikt nie odważy się rozpocząć nowej wojny. Byłem przekonany, że cały okres służby minie w warunkach pokoju.

Wiedziałem, że służba wojskowa trwa tylko dwa lata i po jej zakończeniu zdrowy i cały wrócę do domu. Zostałem skierowany do jednostki wojskowej, w której podobno stawiano żołnierzom najwyższe wymagania, ale nie czułem najmniejszych obaw. Wiedziałem, że fizycznie jestem przygotowany do znacznego wysiłku, a jeszcze bardziej wierzyłem w swoją wytrzymałość pod względem psychicznym.

Realia, z którymi zetknąłem się w koszarach nie spowodowały zmiany poglądów na ten temat, chociaż nie było lekko. Nawet warunki zakwaterowania nie mogły być zaliczone do łatwych, bo w jednej sali spało ponad czterdziestu żołnierzy, a między łózkami ustawionymi piętrowo odległość wynosiła około pół metra. Musiało tam się zmieścić czterech żołnierzy, na czas się ubrać i dokładnie pościelić łóżka.

Tak się złożyło, że moje było tuż obok drzwi wejściowych i już w pierwszych dniach służby w pewnym momencie musiałem głośno zameldować kapralowi, czym się zajmują żołnierze w danym momencie. Obowiązek ten spadł na mnie, bo spostrzegłem kaprała pierwszy. Nieoczekiwanie wszedł na salę i stanął obok. Wrzasnąłem obowiązkowe: „Bacność!” Żołnierze momentalnie wskoczyli na nogi i przybrali pokorną postawę, z rękoma opuszczonymi na dół, potwierdzając, że są gotowi wykonać kolejny rozkaz, zgodnie z regulaminem. Ale kiedy tak samo głośno zacząłem kontynuować składanie dalszego meldunku, rozpoczynającego się od słów: „... Obywatelu, kapralu...” , - cała sala ryknęła śmiechem.

Meldunku nie skończyłem. Kapral uśmiechnął się. Powiedział, żebym dał: „Spocznij!” a potem zaczął wypytywać kiedy przyjechałem do Polski, jak się tu czuję, jak się mieszkało w Związku Radzieckim...

Oczywiście na ten temat już w pierwszych godzinach tak zwanego czasu wolnego najwięcej chcieli wiedzieć koledzy z plutonu, a szczególnie z drużyny. Większość z nich pochodziło z

różnych rejonów Polski. Tylko na początku padło kilka pytań na temat Związku Radzieckiego. Bardziej ich interesowały Mazury - nieznaną krainą jezior i lasów. Nasza jednostka przyjeżdżała na te tereny w okresie letnim i nie było tajemnicą, że najdłużej będziemy na lotnisku w Szymanach, niedaleko Szczytna. Im bliżej był czas wyjazdu, tym więcej kolegów przypominało, że pojedziemy na moje Mazury i do mego Szczytna. Kiedy przez całą Polskę jechałem do domu na kilkudniowy urlop z Bielska - Białej, bo w tym mieście przebiegała moja służba, to nie była to podróż gdzieś na jakąś bliżej nieokreśloną północ, ale na Mazury i do mego Szczytna.

W wojsku miałem dwóch kolegów „z za Bugu”. Z jednym znałem się tylko w ciągu trzech miesięcy, na kursie kierowców w Krakowie. Jego również można było łatwo poznać po pierwszych wypowiedziach, bo jeszcze bardziej niż ja „zaciągał” i mówił ze wschodnim akcentem. Z drugim znałem się dłużej, chociaż był ze starszego rocznika. Spotkałem się z nim w Bielsku - Białej, kiedy trafiłem do kompanii samochodowej.

Wyższy ode mnie, chyba silniejszy, służył drugi rok. Zawsze pocieszał, że służba minie bez żadnych problemów, że nie ma czego się bać nawet podczas skoków, bo przecież nie jeden raz już skakał i nic się nie stało. Czułem promieniującą od niego siłę, pewność i nieprzemijający optymizm, który nie opuszczał go nawet wtedy, kiedy z powodu wydarzeń na Kubie wydano nam amunicję, kiedy w pośpiechu układaliśmy spadochrony do skoku, a na noc nie pozwolono zdjąć mundurów². Wtedy też Józef K. próbował pocieszać i wyrażał nadzieję, że wojny być może nie będzie.

Z dumą powtarzał, że urodził na Kresach Wschodnich, ale teraz jego dom jest na Warmii i Mazurach. Szczęśliwy, po zakończeniu służby odchodził do cywila. Mieszkał niedaleko Olsztyna, chyba w pobliżu Morąga. Jakież było moje zdziwienie i zaskoczenie, kiedy po powrocie z wojska, przeczytałem w „Gazecie Olsztyńskiej”, że młody mieszkaniec wsi... Józef K³, wioząc wozem konnym ziemniaki z pola, spadł pod koła i w wyniku odniesionych obrażeń zmarł.

Praca na PKP, a następnie służba wojskowa, czyli obcowanie z coraz innymi osobami, wszystko razem spowodowało, że poziom władania językiem polskim znacznie się podniósł. Poważnie przyczyniło się do tego i to, że w domu znalazły się książki szkolne młodszych braci. Brałem je i czytałem wybiórczo, ale bardzo dużo. Ponadto, do naszej małej wioski w ciągu kilku lat, chyba raz w tygodniu, przyjeżdżał mikrobus jako filia biblioteki miejskiej. Wystarczyło w ustalonym dniu wyjść z domu na wiejską ulicę, żeby wypożyczyć książkę. Jedną z pierwszych, którą przeczytałem, była „Stara baśń” J. Kraszewskiego.

² To nie był ten moment, kiedy radzieckie okręty płynęły w kierunku wyspy. Wydarzenia miały miejsce wcześniej, w kwietniu 1961 roku, podczas inwazji w Zatoce Świń.

³ Nazwisko było napisane w pełnym brzmieniu. Zgadzał się też wiek. Nie mogła to być inna osoba.